



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicą: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt państwowych od godz. 10 do 6. Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory plam peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Głusińskiego, Plac Kazański Nr. 7. Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji plama i w kioskach. Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. *Polityka:* Świeży sojusz. — Tydzień polityczny. — *Powieści:* Dwugłos miłości, Fantazyja p. W. Okońskiego. — *Życie społeczne:* Towarzystwo krajoznawcze. — *Badania naukowe:* Nowa teorya dziedziczności p. J. K. Potockiego. — *Historja:* Konstancja Siktzmunt. Dziejże litwy p. Sp. — *Literatura i sztuka:* Piotr Chmielowski. I. — Bogdan Zaleski. (Wspomnienie pamiłertke). II. p. H. — *Literatura powieściowa:* Francuska p. P. — *Poljeon:* Liberman veto p. Posta Prawdy. — *Na widokragu p. Nieborskiego.* — *Literatura w sądale (streszczenie).* — *Kronika bieżąca.* — *Odpowiedzi redakcyi.*

POLITYKA.

ŚWIEŻY SOJUSZ.

Sprawy kościelne w Niemczech słusznie zajmują uwagę ogółu polskiego, którego częste żyje pod bezpośrednim wpływem ich biegu, zawiślań i rozwiązań. Wiadomo, że Poznańskie, przyniesione również „kultarkampem” związało się ściśle z mocną i umiejętnie kierowaną partją katolików niemieckich (centrum), której rzeczywistość zawiadza wiele życiowych usług. Otóż skutkiem obecnego porozumienia się kanclerza z papieżem owa partya, wywołana i podtrzymywana walką religijną, traci grunt pod nogami, a z nią naturalnie upadć muszą wszystkie jej związki polityczne.

W tej chwili obchodzi nas przedewszystkiem pytanie: czy zgoda dwu poważniejszych a potężnych przeciwników doszła już do tego punktu, od którego Bismark iśd będzie z ręką w rękę Leona XIII i wielkie starcie dwu pierwiastków, dwu zasad roztapi się w przymierzu politycznym? Zaprzącoży trudno, że oba zbliżają się ku sobie bardzo szybko. Kanclerz zrobił wiele ustępstw — papież także; pierwszy arzeł się ustaw majowych, drugi poświęcił mu za to arcybiskupa polskiego a nawet zobowiązał się do przedstawienia rządowi pruskiemu kandydatów na probostwa. Przepasę, działająca zapasników tak się zapelnia obustronnemi ofiarami, że niedługo będą

oni mogli na jej wyrównanym pasie wyści zdrowie zupełnego pojednania.

Bądź co bądź, katolicyzm i nowożytnie prusactwo są i pozostaną żywiołami odmiennymi a gazety niemieckie, zapatrzone w tę różnicę i przyrwyżające do jej jaskrawego widoku w długoletniej walce, nie porzucają wiary, że Bismark po całym sojuszem ukrył jakieś „daleko sięgające plany,” bez których on naturalnie — według swych bałwochwalców — nawet piwa nie pija i fajki nie pali. „Jestemny — ostrzeżę jedna z tych gazet — w przededniu wielkich wypadków.” Czy tak?

Od lat 14, to jest od wojny francusko-pruskiej słyszamy ciągle tę wróżbę, wyspiewywaną różnemi melodjami i ciągłymi owe „daleko sięgające” plany nie wychodzą ze swego ukrycia. Przez cały ten okres Europa żyła trwogą lub nadzieją dooczekania olbrzymiego przewrotu, dokonanego ręką Bismarka, i zawodziła się ustawicznie. Widziała tylko jego przeróbki wewnętrzne, starała się sejmem, drobne szachy dyplomatyczne, a przedewszystkiem przymierza. Zławsza to ostatnio były ulubionem zajęciem „żelaznego księcia.” Ilo on ich związał i ile rozerwał — rzeczywistość pamięć obliczyć trudno. Urządzał tajemniczo i jawne spotkania monarchów lub dostojników państwowych, wymyślał rozmaite grupowania się mocarstw, zwoływał konferencje — ale to niezmordowanie pruta i dsięgana siatka była tylko spisywaniem kontraktów, wystawianiem lub dyskutowaniem długich i krótkich terminowych weksłów. Pozostała po niej tylko garść potarganych nici, masa węzłków i supłów, które czas nie przedko rozpląta. W tych wszakże przymierzach wyraziło się kilka znamienitych rysów Bismarka: chęć ubezpieczenia łupów zdobytych, niemieć osiągnięcia nowych i zamiar rozpostarcia nad Europą reakcyjnej

ohmury. Ugoda z Watykanem ujawnia właśnie tę ostatnią tendencję. Papież był w Europie jedynym władcą konserwatywnym, Stolica apostołska jedynym tronem niewzruszonej zachowawczości, z którym kanclerz niemiecki nie zawarł ślubu. Jeżeli zaś przypuścimy, że dziś po nad wszystkimi innymi góruje w nim pragnienie utrwalenia nie tylko posiadłości, ale pewnych idei, które on uważa wogóle za słuszne a dla swego państwa za niezbędne, pojmiemy tę jego skłonność do spania z sobą ogniw łańcucha, hamującego rozwój pojęć i stosunków. Bismark czuje, że organizacyja Niemiec, przykrojona do jego osoby, po jego śmierci w takiej przeróbce się nie utrzyma; rozumie on, że model państwa pruskiego będzie się kruszył pod działaniem sił wewnętrznych i wpływów zewnętrznych, że wogóle ta budowa dziennej architektury, oparta na jednej karystydzie a wystawiona na gwałtowne wichry, może się zwałić. Wigo stara się ją podprzeć, otoczy kołem murów ochronnych. Radby cofnąć całą Europę, nawrócić ją do swych ideałów, a gdy to jest niemożliwe, opancerza przynajmniej własne państwo i rozposiera jego wpływy w promieniu sojuszu. Kilkaście milionów ludności katolickiej, słuchającej niewolniczo rozkazów swego władcy religijnego, w starciach solidarniej, wytrwale, niezłomnej, zgręcenie kierowanej — to żywioł zbyt silny a w walce niebezpieczny, żeby Bismark mógł go lekceważyć i na przyszłość pozostawić wrogom, na tę przyszłość, której czynników rozkładowych nie zabraknie. Dopóki twórca jednoci niemieckiej i dyktatury konstytucyjnej żyje — umie odpiierać ataki katolików; ale co będzie, gdy jego zabraknie? Socyalizm, katolicyzm, liberalizm, separatyzm — wszystkiego tego będzie za dużo na jedną głowę kanclerza — przyszłego. Czyż nie lepiej najsilniejszą z tych potęg zjednać,

zwłaszcza że ona celom reakcyi najskuteczniej usłuży?

Ze Bismark rozpoczął zgodę od głowy, nie od nóg, od pastora a nie jego owieczek, to licząc zupełnie z jego wyniosłością i sposobami taktyki. Wsejście wszakże zapowiedział, że nie pominie nóg, skoro się załatwi z głową, za którą one naturalnie pójdą.

Tak tedy katolicyzm wezwany został do pracy nad dziełem reakcyi, w którą kanclerz niemiecki chce oprawić najbliższą przyszłość Europy. Przemyśleć to, jeśli nie pęknie, może być dla obu stron bardzo korzystnem, gdyż obie podmurują wzajemnie swoją podstawę.

A Europa, a świat cywilizowany, a postęp ludzkości? Przedzaj czy później rozzerwie sztuczne groble i pójdzie swoją naturalną drogą, a ze wzmożonym rozpędem. Ze ks. Bismark sypie tamy, ze niemi powstrzyma rozwój idei i stosunków — to jest pewnem; ale nie mniej pewnem jest to, że cała jego praca uniesie i pochłonie pierwszy obfity wyłom postępu. Wtedy znowu papier cofnie się od poderwanych brzegów i badać zacznie, na którym z płynących po wezbranej rzece statków można coś dla kościoła nabyć.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Stosownie do poprzednio uczynionej zapowiedzi, w dniu 8 kwietnia przedstawił Gladstone parlamentowi bil o samorządzie irlandzkim. Jest to dopiero część zamierzonych reformy, gdyż w połowie kwietnia wejdzie na porządek dzienny projekt urządzenia stosunków rolnych. Przyszły parlament irlandzki składać się ma z dwóch Izb: wyższej i niższej, obie jednak będą wybieralne. Każda liczyć będzie 103 człon-

ków. Z pod kompetencji parlamentu miejscowego wyłączone sprawy wspólne, do których odniesiono: przywileje korony, sprawy zagraniczne, zarząd armii i floty oraz kolonii. Na wspólne wydatki Irlandji płaćć winna rocznie 8 milionów f. szt. Policja pozostaje nadal pod kierownictwem rządu angielskiego. Projekt nie wspomina wcale, jaką ma być organizacya władzy wykonawczej, czy utworzone zostanie oddzielne ministerium irlandzkie; oświadcza tylko, że wielokroć może być katolik. Posłowie irlandzcy zasiadają w parlamencie brytańskim wtedy tylko, kiedy wniesiony będzie projekt zmiany konstytucyi.

Przeciw reformom Gladstone'a powstała silna opozycja. Dokonserwatystów, przeciwiwających się im głównie ze względów stronnicych, przylączyła się część umiarkowanych liberałów, t. z. grupa Hartingtona, licząca około 50 głosów i wielu radykałów. Pomimo świętych mów Gladstone'a i Morleya, opozycja rosła i zatwierdzenie bilu jest bardzo wątpliwem. Jeżeli będzie odrzucony, gabinet podać się do dymisji, ale zachowawcy z pewnością zmuszeni zostaną podjąć na nowo pogrzebany projekt, obciążony z pewnością zmianami, gdyż w przeciwnym razie spodziewać się można zbrojnego powstania w Irlandji.

Kiedy rząd angielski stara się naprawić dawne błędy i powetować wiekowe krzywdy, parlament prosi gorliwie pryncję tymczasem nad stworzeniem u siebie nowej Irlandji. Ustawy wymierzony przeciw polakom przechodzą szybko w drugi i trzeciemi głosowaniami, już prawie bez protestu zmęczonej daremnie wołaniem opozycji, rząd sąciagle zaleca pospiech. Jednocześnie odbywają się targi z Włochami i projekt ugody pisze się na polskiej skórce. W ostatnich dniach papier znowu zrobił ustępstwo w sprawie mianowania proboszczów, w zamian za co rząd niemiecki przyrzekł rewizję ustaw majowych.

Książę bułgarski skłania się wreszcie do przyjęcia postanowień konferencji konstancyńskich. Od początku tegoż zjazdu przewidzieć było można, że rząd bułgarski nie zdoła oprzeć się zbiorowemu naciskowi mocarstw, ale opór zacyty książę-

cia miał rację, bułgarzy bowiem przekonał się nacznie, kto najbardziej sprzeciwia się ich zjednoczeniu. Książę osobiście poddaje się wyrokowi konferencji, ale oświadcza, że tylko przedstawiciele narodu mogą stanowczo decydować w tej sprawie. W tym celu zwołano stan wojenny w księstwie i Rumelii i rozpisano wybory do zgromadzenia na 23 kwietnia. Tymczasem rzeczywiste zjednoczenie obu krajów odbyło się już prawie zupełnie i wobec tego faktu postanowienie konferencji wydaje się nielogicznem, bo przecież po pięciu latach niepodobna będzie rozdzielić Rumelii i Bułgarii.

W Serbii utworzony został gabinet Risticia, ale przetrwał tylko trzy dni i podał się do dymisji. Z początku sądzono, że załadata tego Austrija, obecnie jednak okazuje się, iż zważył ministerium Risticia Laenderbank wiedeński, któremu król Milan formalnie zaprzedał Serbię. Bankierzy wiedeńscy, niezadowoleni z projektów finansowych nowego ministra, więcej jeszcze niż z przewidywanego jego polityki, wymogli przyznanie sumy i zmusili w ten sposób rząd serbski do ustępstw. Miły Austrii Garaszianin wrócił znowu do steru rządów i w zamian za okazane mu poparcie zezwoli zapewne na jakieś nowe spekulacye z finansami serbskimi.

Jeżeli polityka księcia bułgarskiego może tylko gniewać wielkie mocarstwa, to Grecji dotkliwie daje się ona we znaki. Ile razy książę Aleksander przybierze energiczną podstawę i zamocni międzynarodową zgodę, tyle razy zapal wojenę helonów wzrasta, mnożą się uzbrojenia, wygłaszają ogniste mowy. Potem Bułgarya ustępuje, widnokrąg polityczny wyjaśnia się i Grecya z kwaśną miną chowa na pół dobyty miecz do pochwy. Komedya ta powtórzyła się znowu podczas ostatniego targu.

Rozruchy robotnicze w Belgii zostały zupełnie stłumione, natomiast we Francji zмова górników trwa ciągle i przybiera ostry charakter. Z powodu aresztowania dwóch agitatorów - dziennikarzy skrajna lewica protestuje i zachowuje się wzywająco względem rządu, który waha się i nie wie co przedsięwziąć.

POWIEŚĆ.

DWUGŁOS MIŁOŚCI.

Fantazy.

Rojowisko istot pożałdłością wielkich i mocą małych coraz gwałtowniej zaczęło się zwierzać, kłębić i zagryzać, jak gdyby w obawie, ażeby kulista bryła, która ich nieśła po przestrzeni, nie wstrząsnęła się o zawadę i nie zrzućła słabo przyczepioną do niej siłą ciężenia w bezdenną otchłań świata. Czasem w przerwach szumu złowrogich szeptałów, z wycia dzikich głosów i krzyku zachwalały głupoty wydobywał się nieśmiało lekliwy ton szczerzej miłości skromnego rozumu lub bolesnego jęku, ale wkrótce tonał, jak wąż polnych kwiatów w swędach pobojowiska, jak świergot zięb we wrzasku kruków. Ochorzeni był hymnem zwyciężającego gwałtu; jej chwałę jadowite języki wybijali w krwiożerczych paszczach, jak żelazne serca chwałę nieba w dźwiękach.

* * *

Mroki opadały na nią warstwami coraz gęstszymi. Poprzedziły one i zwiastowały Noc, która wkrótce zasiała na tronie s kryształów i błyskawic, wylanym skórkami niepotęperzów i obitym na krawędziach zre-

niciami bazyliisków. Unosiły go na swych grzbietach dwie leżące byeny, za podnoże służyły zwinęty aszkal, a u wierschu tylne go oparcia kotylas się leniwie zamysłony sep. Władczyni trzymała w jednej ręce miecz, a w drugiej grzyby opleciony ognem tygrysowego węża, który wspanawczy się połową przez ranę boku rozpiętego Chrystusa, przez bolesnie otwarte jego usta wysuwał swoje żądło. Groźna i ponura jej twarz ujęta była w ramy długich, prostych włosów; nad czołem błyszczał wąski luk księżycowy, a po szacie z kruchych piór rozsypany się drobne gwiazdki. Przed tronem na ołtarzu ze spróchniałych sorw w wydrżonych czaszkach ludzkich palily się kadzidła, których gęste i ciężkie dymy rozwieziały swe kłęby na wyparach sserokiego bagniska, migającego niezliczonymi płomykami błędnych ogników.

Zaledwie Noc usiadła, upiory jej orszak, zgasiwszy ostatni promień słońca, zdjął z ramion swej pani długie czarne płaszcze i racuły wichrom, które w tej chwili nadbiegły. Pochwyciły go one, z szumem szerokiego skrzydła uniosły i rozpostarły po niebie. Na te jego kuru moniejszym blaskiem odbily się gwiazdy jej szaty i ogniki otaczającego ją trzęsawiska.

Były to jedne światła w tej ciemności.

Wybione niemi ze swych kam, szczerlin i rumowisk przepływały bl przyskoczyły przed tron Nocy różne potwory ziem. Syczące, piszące, skrzękające, mówiące, grzechotliwym i rośdźwięcznym chórem zaczęły błagać ją o miłosierdzie i łaskę.

Władczyni potężna, opiekunko słabych i ułomnych, zlituj się nad nami, nie-

mogącymi znieść jasności i żyć w niej bezpiecznie. Pod twoją jedynie osłoną opuszczamy nasze legowiska i spożywamy resztki plodów ziemi, niedojedzone i porzucone przez twory, których oczy nie mrugają się w świetle. Dobroczynna i sprawiedliwa pani, zderzyj z niebios oklepiającą nas tarozą, smudlną przysłotką, pochodnią dnia, zamknij okno świata przed słońcem, które nas razi, w nory i diuple zapędza, prześladowcom ukazuje. Niech od ściany do ściany przestrzeni rozsiadają się zmierzchy i rozpęną czarne smugi, niech na żadnym skrawku ziemi nie będzie widnieć, niż na dnie morza, niech wieczna ciemność sioiera wszystkie burwy, niech nawet śniegi pomrąca.

— Oczarodziejko, połós awie chłodne palce na powiekach oczu z małymi zronkami i zamknij je snem mocnym. Zawrzyj się wymowne, albo uchył je tyle jedynie, ile potrzeba do wciągnięcia powietrza płucem, do przepuszczenia lekkich westchnień i chrapiących oddechów. Nakaz milosierdzie głosem donosnym i dźwiękiem śpiewnym, niech natomiast odzawa się swobodnie i słyszane będą nasze stłumione szepty i krótkie powisity. Otul świat ciszą, dozwól ją tylko zakłócić szumem i na chwilę rozdzierać żywiołom natury. Dziś twoje, zagłuszone gwarem życia, stoją pośród niego nieme. Ani drżenie pyłków osu, ani syk żmii, ani sapanie sowy, ani chrząkanie kreta, ani złoława trąbka komara, ani grzechotki żaby — żaden ton z symfonii, na cześć twoją od wieków granej, nie zdoła się przebieć przez muzykę orkiestry dnia. Spraw wszechmocna, ażeby pier-

W Chateaurvillain podprefekt z żandarmerii rozkazał zamknąć otwartą bez zezwolenia rządu, przy fabryce p. Fischera — kapiłce. Właściciel fabryki z robotnikami stawiał zwyciężył opór, z obu stron są ranni i zabici. Rozumie się, że policja zwyciężyła, ale cała sprawa narobiła mało hałasu i stała się może sygnałem do stanowczej walki państwa z kościołem.

Włośczech zapowiadają częściami zmianę gabinetu, która nie ma wszelako donioslejszego znaczenia politycznego, lecz jest po prostu rezultatem intrzyg osobistych. Może być również, że parlament zostanie rozwiązany.

Socjaliści angielscy: Hyndham, Burns i inni zostali uwolnieni przez sąd od wszelkiej odpowiedzialności.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

TOWARZYSTWO KRAJOZNAWCZE *).

Mysł założenia u nas Towarzystwa krajoznawczego poruszona w *Wędrowniku* (nr. 6), o ile wnosili można z głosów kilku innych piśm, obudziła wśród publiczności dość żywe sążnie. Praktycznie urzeczywistnienie tej myśli według szerszej skali, wobec istnienia w Cesarstwie instytucji pokrewnej, możliwym jest tylko pod postacią jej „Wydziału” na podobieństwo Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Inne pomysły, jak np. rada połączenia projektowanego towarzystwa z istniejącym już — wioślarskim, a zapewne i uwagi kronikarza *Ateneum* na temat znanej piosenki, że „tylko to boskie, co nasze, krakowskie” — wypływały z nierozumienia rzeczy i niejasnego pojmowania celu, zadania i środków, ustroju wewnętrznego i szczególnych przywilejów instytucji

*) Sądymy, że artykuł ten, łaskawie nam nadany, jest najpoważniejszym głosem w tej sprawie, bo ją sprowadza z obłoków na ziemię. Red.

ziemi nie brzmiała głośniejsz, niż wewnątrz grobu, w którym szeszołazca drobne robaczki i odbijają się echa gniwów bożych. Niech Bóg tylko ma prawo w naturze huknąć gromem, tak jak on jeden ma prawo świecić błyskawicą.

— Rodzicielko spokojno powstrzymaj lub osłab król życia, który nas obłonił i dławi. Nie możemy ani adsyty w wysięgu stworzeń zuchwaliśmy, ani mu drogi zagrzeżdż nieprzebręta górą. Szalone wrocy krecz na w szych kolowrotach i przernocują sobie wzajemnie, gwałtowne prądy rozmaitą nas i pędzą w dal, jak tuman karzu. Podczas gdy my pelzamy, przelatują po naszych ciałach i rozgniatą je gromada nieokielczanych bestyj, goniących mare srożnego szoszenia. Matko najdobrotliwsza, niech tętno ziemi zwolnieje, niech Bóg tylko wypuszcza na nią z chmur swe utęgni, ale niech jej twory nie idą z nią w zawody. Spokojno granitowych skał, spokojno samaryzacji oceanów, spokojno pustych piaszczystych — bądź błogosławiony!

Noc dała znak łaski pochyłoną głową, za który rzesza, zgromadzona przed jej tronem, podkiewowała przecięgłym wybuchem pisków, skowyczeń i ryków, który się odbił się o strop niebios.

Ciemność tak zgęstniała, że w niej znikła postać władzy, jej tron wraz z gołdami i orszakiem, nawet jej sierp księżyco-owy, gwiazdki jej szaty i błędne ogniki. Najbardziej rozszerzona żrenice nie mogły dojrzeć niczego. Słychać było tylko trzęsopanie skrzydeł, tarcie wijących się

czysto naukowej, jaką jest Towarzystwo geograficzne.

W obecnej zwłaszcza chwili, kiedy po prostu upadamy pod ciężarem groźnych zagadnień, rozstrzygających być może o podstawowych warunkach naszego bytu, a kto wie, czy nawet nie o istnieniu naszego plemienia, organizacja zbiorowej pracy nad poznaniem własnego kraju, jego ziemi i ludzi jest sprawą pierwszorzędną wagi. Smutne też wrażenie robią zabawne pomysły i nieaktowne posiadania ludzi, którzy nie obejrzieli dokładnie tego, co i o czym mówią. Na jedyny pozornie poważny zarzut, przeciw otwarciu w Warszawie Wydziału Towarzystwa geograficznego, można odpowiedzieć, iż dobrze zrozumiany interes publiczny zawsze naprawdziwi tych, którzy, szczerze pragnąc przynosić krajowi istotny pożytek, powtórzą za Henrykiem IV: *Paris vaut bien une messe!*...

Projekt ten zresztą nie jest wcale nowy: powstał on bowiem już przed 14 laty, jak się zdaje, z inicjatywy ówczesnego namiestnika Królestwa hr. Berga. Podajemy tutaj notatkę historyczną, spisana według protokołów posiedzeń Rady głównej Towarzystwa (1872—4 r.), chcemy wyjaśnić charakter zalecaną obecnie instytucji, a nadto chcąc wskazać tę drogę, na której ów projekt, już bardzo bliższy ostatecznej sankcji, zatrzymał się z przyczyn, prawdopodobnie, przypadkowych.

Statut Towarzystwa geograficznego wymaga przedzwyszkaniem, ażeby na liście członków — założycieli mającego powstać Wydziału zapisało się przynajmniej 100. Warunek ten w 1872 r. bowiem spełniony całkowicie, w spisie bowiem osób, które pragnęły wówczas należeć do miejscowego Wydziału, figuruje 114 osób.

Następnie namiestnik wystąpił z formalną propozycją otwarcia Wydziału, wyłożywszy ją w piśmie na imię prezesa Towarzystwa geograficznego Wielkiego księcia Konstantego. W piśmie ten zwraca uwagę Towarzystwa na różnorodne bogactwa przyrodzone kraju, na jego klimatyczne, etnograficzne, ekonomiczne, prawne i społeczne właściwości, stanowiące nader obfity i ciekawy materiał do badań nauko-

wych i szansem zarazem dotkliwy brak odpowiedniego organu, któryby dawał podobną, kierunek i łączność zarówno jednostkowym, jako też zbiorowym poszukiwaniom na tak obszernem a dotąd ugorącem polu. „Biora statystyczne poszukiwania przy zarządach gubernialnych nie mogą wznieść się do wysokości naukowej, przemysłowej i administracyjnej znaczenia takich poszukiwań, gdyż administracja sama przez się bez czynnego współudziału osób prywatnych, bezpośrednio i w szerszym obszarze obywateli z warunkami miejscowymi, nie zdoła nawet przy najuprzejmiej obietnicach i najgorliwiejszym staraniu nagromadzić i opłacać tej masy danych, jakie się składają na dokładny i wierny obraz kraju.” W końcu wyraża on przekonanie, że podobne zadanie mogłoby jedynie spełnić miejscowy Wydział Towarzystwa geograficznego, który znalazłby dostateczną ilość ochotnych i uzdolnionych sił naukowych.

Na wrześnie wice posiedzeniu 1872 r. Rada główna Towarzystwa przyjęła propozycję namiestnika Królestwa Polskiego z „najgorętszym uznaniem” i bezwzględnie przystąpiła do wypracowania projektu ustawy. W końcu wrześnie projekt ten już został przesłany namiestnikowi, wobec bardzo naturalnej ewentualności, że warunki miejscowe lub też względy, nienależące do kompetencji Towarzystwa, jako instytucji wyłącznie naukowej, wymagały mogą tych lub innych w nim zmian.

W początku następnego roku hr. Berg zwrócił się do Towarzystwa z nową propozycją. Przypominając, że skutkiem ogromu zadania Wydział warszawski w pierwszych zwłaszcza latach swej działalności nie będzie mógł rozporządzać dostatecznymi środkami materialnymi, prosi o wyznaczenie z właściwych funduszy Towarzystwa stałej zapomogi w ilości 3,000 rs. rocznie. Rada główna przesłała namiestnikowi (w lutym 1873 r.) następującą odpowiedź:

Dwa tylko wydziały — syberyjski i tyński — otrzymują roczny zasiłek w ilości 2,000 rs.; są one najbardziej oddalone od Towarzystwa, posiadające stosunkowo nie-

I ziemia brzmiała hymnem zwycięskiego gwałtu.

* * *

Ciemność nie rzadniała, a całun Noey wciąż wisiał rozpięty na obłokach. Powoli wiatr zasnął je kołysną, faldując, zganiał i rozpadał, spnął i szarpał zwiędła i rozciągał na frędzle. Kilka klaków oszarnych oddali od stropu i cisnął, odalonych płyty jasności, Ziemia na ziemię, skreślił z liści i piasku słup tabożący i obłazisty go po polach, rozdmuchnął. Tymczasem uciekająca nieba nabrzmiała ciężką, oszarną chmurą, w której łonie odzywały się głuche grzmoty. Przesławiła ona ciagle swe olbrzymie kłęby, leniwa i niespokojna, ślepa a groźna. Nie otworzyła oczu, nie błysnęła ani jednym promieniem gniewu, wyginała jedynie swe wielkie ciała, a przecież, chociaż zdawała się zasypiać, zionęła walką, bo drżała burzą. Jej złowrogie turkoty rozlegały się długo i coraz głośniejsz, narazem zaczęła wstrząsającem, przecięgłym hukiem i wylała na ziemię potoki deszczu, które od ziemi do nieba przecięgały się lasem strum plynnych. Wasytka twory Noey wsunęły się do swych schronisk, na otwartę ziemi pozostało tylko to, co do niej przyszło. Nawet wiatr, wakozywszy na wierzbolki drzew, uciekł z nich w obłoki, które objęły świat ciemno-szarą pokrywą. Burza pienia się.

(D. n.)

W. Okoński.

liczne siły naukowe i działające na rozległych obszarach, prawie zupełnie nowych dla nauki. Inne zaś wydziały nie otrzymują żadnych zapomóg stałych. Rada też nie widzi właściwego powodu do zrobienia wyjątku dla warszawskiego, tem bardziej, że początkowe prace jego mogły być w razie braku środków wydawane kosztem Towarzystwa, a następnie, gdyby w przyszłości podjęto jakie szersze zadanie i gdyby zaszła potrzeba urządzenia wyprawy naukowej na większą skalę, ma ono nadzieję wyjechać dla Wydziału warszawskiego niezbędny zasilek pieniężny.

W tem miejscu zrywa się nie korespondencyjnie pomiędzy naczelnikiem a Towarzystwem geograficznym i oddał sprawą ta wcale nie była poruszana na posiedzeniu Rady głównej. Do ostatecznego załatwienia brakowało jeszcze dwóch formalności — zatwierdzenia ustawy przez namiestnika i przedstawienia jej do Najwyższej decyzji.

Uprzejmości jednego z członków Towarzystwa geograficznego w Petersburgu zawiadujemy następujące informacje. W r. 1874 generał Minkwitz przedstawił nowemu naczelnikowi kraju, hr. Kotzebue, całą sprawę w tem studium, w jakim zakładał ją śmierć hr. Berga. General-gubernator przyjął projekt bez żadnej zmiany i postanowił nadąs sprawić właściwy kierunek urzędowy; jednakże Towarzystwo geograficzne nie tylko za życia hr. Kotzebue, lecz i w ciągu następnych 10-ciu lat nie otrzymało żadnej urzędowej wiadomości o decyzji tutejszej władzy w sprawie, tak gorąco przez nią pierwotnie popieranej.

Na zakończenie przytoczamy główną osnowę projektu ustawy Wydziału warszawskiego, który, jak nadmieniliśmy, Rada główna Towarzystwa geograficznego wypracowała przed 15-tu laty.

§ 2. Warszawski Wydział C. K. T. G., działając bez pośrednim kierownictwem głównego naczelnika kraju, pracuje głównie nad zbadaniem Królestwa Polskiego pod tymi wszystkimi względami, które są przedmiotem zajęć Towarzystwa, a mianowicie ściśle geograficznym, przyrodniczym i statystycznym.

§ 3. W tym celu: a) wyszukuje i podaje do powszechnej wiadomości już przedtem zgromadzone dane, dotyczące Królestwa a znajdujące się czy to w archiwach miejscowych, czy też u osób prywatnych, obywateli się z niemi locia, ich wartości naukowej; b) prowadzi na miejscu poszukiwania naukowe, mające na widoku sporządzenie później dokładnych map i szczegółowego fizyko-geograficznego opisu kraju; c) okazuje pomoc osobom prywatnym, zwiadającym Królestwo w celach naukowych, oraz stara się o pozyskanie dla czynnego współdziału w badaniu kraju osob, które bądź przez swą gorliwość dla nauki, bądź też dzięki swym wiadomościom specjalnym mogą się do tego celu nadawać; d) ma pieczę o urządzeniu konserwatorów dla materiałów i środków pomocniczych naukowych, należących do sfery jego zajęć.

§ 4. Wydział warszawski wybiera na swych członków te osoby, które mogą być użyteczne dla jego celów naukowych. Osoby te otrzymują tytuł członków czynnych C. K. T. G.

§ 5. Osoba, która zaoferuje na korzyść warszawskiego Wydziału nie mniej jak 300 rs., otrzymuje na zasadzie statutu C. K. T. G. tytuł członka-promotora z dyplomem podpisany przez prezesa Towarzystwa. Ofiary te stanowią odrębny kapitał, zostający w zupełnem rozporządzeniu Wydziału.

§ 6. Wydział do zarządów czynnościami wybiera ze swego łona przysługującego i głównego referenta, których wybór zatwierdza główny naczelnik kraju. Ich obowiązki i prawa w stosunku do Wydziału, jak również bieg i regularność czynności administracyjnych Wydziału, określony jest w przepisach ogólnej ustawy C. K. Towarzystwa geograficznego; wszelkie zaś zmia-

ny, jakich wymagać mogą miejscowe warunki zarządza sam Wydział za zezwoleniem głównego naczelnika kraju.

§ 7. Kancelaryjne jako też i inne wydatki Wydział pokrywa z rocznych wniosków swych członków (stosownie do ustawy Towarzystwa). Sumy, będące własnością Wydziału, wydają się za rozporządzeniem przysługującego przez głównego referenta, z zaciąganiem do właściwej księgi emnrowej, która po skończonym roku przedstawia się do rewizji zgromadzenia członków Wydziału.

§ 8. Stosunek warszawskiego Wydziału C. K. Towarzystwa geograficznego do samego Towarzystwa jest następujący:

a) Wydział ten stanowi integralną część Towarzystwa i na mocy tego korzysta z Najwyższej nadanej Towarzystwu pieczęci z herbem państwowym, oraz z prawa bezpłatnego przesyłania pocztą wszelkiej korespondencji i paczek do jednego puda wagi.

b) Towarzystwo ma obowiązek dopomagania Wydziałowi we wszystkich jego przedsięwzięciach naukowych radami, wskazówkami, udzielaniem mu wiadomości, jakie samo posiada, materiałami i innymi środkami pomocniczymi naukowych, oraz wsparć pieniężnych, gdy na to pozwala jego własne fundusze.

c) Prace Wydziału drukują się jego kosztem albo też kosztem Towarzystwa.

d) Ze swej strony Wydział warszawski spełnia prośby i zlecenia, z którymi Towarzystwo będzie się doń zwracało; rozstrząsa postawione mu kwestye; opracowuje wskazane przedmioty i w ogólności dostarcza Towarzystwu użytecznych wiadomości dotyczących specjalnej sfery jego zajęć.

e) Wydział składa Towarzystwu corocznie szczegółowe sprawozdanie z przebiegu swych czynności, które to sprawozdanie włączać się będzie do ogólnego sprawozdania rocznego C. K. Towarzystwa geograficznego.

Nie rozbierając tych reguł, zaznaczamy tylko istnienie podstawy, na której dalsze starania oprzeć należy.

BADANIA NAUKOWE.

NOWA TEORYA DZIEDZICZNOŚCI.

Różne nazwy dawano teorii Darwina. Nazywano ją: nauką o pochodzeniu gatunków (Descendenz-lehre), teorią rozwoju (Entwickelungstheorie), ewolucyjną, wreszcie teorią dziedziczności. Ze wszystkich najmniej odpowiednim, najmniej stosownym jest miano ostatnie: jeżeli czego brakowało darwinizmowi, to właśnie naukowej i do przekonania trafiającej teorii dziedziczności. Nieśmiertelny twórca nowego w dzisiejszej biologii kierunku sam rozumiał to dobrze. Zjawisko dziedziczenia przez potomków cięlesnej i duchowej przyrody ustrojów rodzicielskich podniósł on do godności jednego z czynników rozstrzygających w sprawie kształtowania się i powstawania nowych form zwierzęcych i roślinnych; wiedział jednak, iż jest to tylko proste zaznaczenie faktu, nieźmiernie ważne wprawdzie, ale niezdolnego wyjaśnić nam najgłębszej treści i pierwotnej przyczyny objawu. Nierozwiązana ciagle, nierozstrzygnięta pozostała zagadka: „Skąd czerpie organizmową zdolność przekazywania z taką dokładnością budowy swej — potomkom? Jak się to dzieje, że jedna jedyna komórka, jako, z parów milionów innych komórek ciała, posiada zdolność uwolnienia się z niego i odtworzenia samodzielnie wszystkich jego własności i przymiotów?” Cieszą na pytania te odpowiedzieć, sam Darwin pokusił się o naukowe wytłomaczenie zjawiska dziedziczności. Odnosnąc teo-

ryę jego, znaną w nauce pod imieniem *pangenety*, łatwo jest zawrócić w kilku wyrazach. Przypuszczając ona, iż wszystkie komórki dojrzałe lub istniejące w czasie zarodkowego rozwoju organizmu „wydzielają” do siebie małe ziarenka albo atomy, zapatrzone w dostateczną ilość pokarmu, które krążą po całym ciele i „podlegając dzieleniu” się, mogą znów później wytwarzać komórki, podobne do tych, z jakich same pochodzą.” Pogląd ten wobec ścisłej sfery krytyki ostać się nie może: atomom — a więc jednorodnym, jednostajnym cząstkom danej materii — przypisanie on własności najróżnorodniejsze; jeżeli zaś — jak to jest widoczne — „atomy” owe nie są do siebie podobne, to znów i przyczyna i wewnętrzna istota ich różnic pozostaje w dalszym ciągu tajemnicą. Atomy te albo „zarodeczki” mają się, podług Darwina, gromadzić w komórkach rozrodczych (nasienie i jako), przedostających przezte jakby wyoląg (ekstrakt), jakby stroszczenie w sobie całego rodzicielskiego ustroju. Niektóre zarodeczki zaczynają żyć i rozwijają się albo zaraz w pokoleniu następnem, albo też przez pewien przeciąg czasu pozostają w bezczynności, występując do życia dopiero później — w trzecim lub czwartym generacji. W tym ostatnim wypadku są one przyczyną *plautizmu*, t. j. powrotu cech jakiegos przodka, bardziej niż rodzice oddolnego.

Ernest Haeckel, próbując rozwiązania zagadki na innej drodze, wystąpił znowu ze swoją teorią *perigenety* (*Plastid-Perigenese*). Podług niego cząsteczki fizyczne czyli drobiny (molekuly) protoplazmy posiadają wszystkie jej własności życiowe. Pogląd ten jest jeszcze bardziej ryzykownym i staje w sprzeczności ze wszystkim, czego uczy nas chemia i fizyka. O własnościach *chemicznych* ciała wyrokują kształty i wzajemne do siebie stosunki atomów; wszelka w nich zmiana jest to źródłem zjawisk *chemicznych*. Z atomów składają się, jak wiadomo, drobiny albo cząsteczki fizyczne (molekuly); tych zaś wielkość, wzajemne położenie itp. stanowią znów o *fizycznych* ciała przymiotach. Spytującą przeto zjawiska *biologiczne*, a góry już przewidywać możemy, iż właściwim i sforszadaniem są już nie atomy i nie drobiny, lecz jakieś wyższe, bardziej złożone jednostki materii. Nowoczesne poszukiwania biologów kierują się właśnie w stronę takiego przypuszczenia. Burmeister, Sachs, Brück, Nageli i inni, badając wewnętrzna budowę protoplazmy, przyszyli do wniosku, iż — tak samo jak błony komórkowe i krochmal — składają się ona mni z małych cząsteczek, swanych *micellami*. Każda z nich otoczona jest warstwą wody mniej lub więcej grubą, przedstawia ciałko krystaliczne, złożone z kilku cząsteczek fizycznych (molekul) i odznacza się podwójnem załamaniem światła. Leczba, układ i wzajemny do siebie stosunek micelli, stanowią o biologicznych własnościach protoplazmy. Nageli i wielu innych biologów odróżniają dziś dwa rodzaje protoplazmy: *stereoplazmę* i *idioplazmę*. Pierwsza z nich jest podstawą zjawisk życiowych, warunkujących istnienie pojedynczego osobnika; drugiej zaś budowa micelarna i siły międzymicelarne — stają się podzielnikiem zjawisk dziedziczności, przenoszenia się cech dziedzicznych z rodziców na potomstwo. Nageli wyobraża sobie, na podstawie pewnych danych faktycznych, iż micelle złożone są w protoplazmie podługnymi i równoległymi szeregami: w ciągu życia danej osobnika układ ten i zarzys ich zewnętrzne się nie zmieniają, następuje to wszakże — z biegiem idących po sobie pokoleń. Różnica w układzie szeregów micellarnych — stanowi o *szeregach* własnościach biologicznych danego gatunku, zmiany zaś, jakim szeregi one podlegają w ciągu pokoleń, są przyczyną powstawania nowych form zwierzęcych

i roślinnych. Według Nägellego cząsteczki *idioplazmy* rozłożone są nakształt sieci we wszystkich komórkach ciała.

Odmianą nieco teoryę dziedziczności przedstawił w czasach najnowszych A. Weismann, profesor zoologii we Freiburgu (*). *Idioplazmę* Nägelgo zastępuje on t. zw. *plazmą zarodkową* (Keimplasma), którą umieszcza nie we wszystkich komórkach ciała, lecz tylko w *komórkach rozrodczych* (jajko i nasienie), a mianowicie w substancji ich jąder. Aby przekonać czytelnika, że nawet tak subtelne różnice nie są wynikiem nieuzasadnionych tylko przypuszczeń, pospieszamy dodać, że Weismann opiera się tutaj na tym powszechnie prawie znanym fakcie, że w sprawie zaplaniowania zlewają się częstokroć same tylko *jądra komórek płciowych* (nasienia i jajka), niekiedy zaś jądra te są dostatecznie modyfikowane dalszego rozwoju. „Skoro jednak komórki rozrodcze nie są jakby „ekstraktem z całego ciała, „natenczas modyfikacji stają się dwa tylko wypadki: albo substancja rozrodczej komórki rozrodczej może odbyć szereg przeobrażeń i wydawczy ze siebie nowego osobnika, przyprawdając go znów do wytworzenia takiej samej (jak rozrodczej) komórki rozrodczej; albo też: nowe komórki rozrodcze potomków (jajko i nasienie) w istotnej, ściśle określonej swej części nie składają się z cząsteczek ciała potomka, ale *bezpłodnie z komórki rozrodczej rodziców*. Przypuszczenie drugie bardziej jest prawdopodobnem i ono też stanowi istotę nowogłoszonej teoryi Weismanna, znaney pod imieniem zasady „ciągłości plazmy zarodkowej. Na pierwszy rzut oka teorya nie jest wolną od zarzutów. Najpoważniejszy z nich zawiera się w pytaniu następującem: W jakim sposób, przyjmując *ciągłość* plazmy zarodkowej, złożyły wyłomczak sobie zadziwienie cech *nabytych*? Otóż najpród odpowiada się tutaj, iż organizm potomka takie tylko cechy odziedziczył może, do jakich jest skłonny; z drugiej strony teorya „ciągłości plazmy zarodkowej” nie odrzuca bynajmniej przypuszczenia, iż tenże organizm danego osobnika na naturę odziedziczoną po rodzicach „plazmy” wpływ jakiś, acz ograniczony, wywierać może.

Nie będziemy się dłużej zatrzymywali nad tem, w jaki sposób Weismann tłumaczy rozmaite zjawiska dziedziczności; nadmienienie jeszcze tylko, iż — wychodząc ze swojej teoryi — nie widzi on żadnej różnicy jakościowej pomiędzy rozmataniem się *placowem* i *dziworożcem* (*parthenogenesis*). Różnica ta jest tylko ilościową i polega na nagromadzeniu się w pierwszym wypadku większej ilości *materiałów odnośnych*, które przynosi to sobą nasienie. Pogląd powyższy opiera się na faktach.

Teorya Weismanna w głównych swych zarysach potwierdza niezmierznie trafno przypuszczenia prof. Szokalskiego, wyrażone w książce p. t.: „Początek i rozwój umysłowości w przrodzie”. Gdyby szan. profesor przyrodniczej teoryi swojej nie był zainicjował i oszczędził metafizyki, zdołałby zapewne uprzedzić uczonemu niemieca w sprawie wyświeślenia zawitych i ciemnych zagadnień dziedziczności. Ale tak — jak się zdaje — „prawdziwą” wiarę z prawdziwą nauką, ani pierwszej, ani drugiej, ani imieniom polskiemu nie przynosią pożytku.

J. K. Potocki.

HISTORIA.

Konstaneya Skirmunt. Dzieje Litwy, opowiedziane w zarysie z 3-ma mapami. Kraków, 1886, 82 str. VII i 151.

Oznaczywszy położenie geograficzne kraju, krótko opowiedzawszy o pochodzeniu narodu i jego szczechach, a najkrócej (i niedostatecznie) o mowie i sposobie życia w czasach zamierzchłych, aszeraz autorka poświęca ustęp mitologii litewskiej, po czem wymienia sąsiadów i przystępuje do dziejów. Chwalimy umieszczenie tego rodzaju wiadomości na wstępie, lecz proponujemy zmiany w układzie. Z opisem położenia kraju północzby należało geografii Litwy, którą autorka pomieszcza na końcu książki; w związku z geografją iś powinno wyliczenie sąsiadów, których najistotniejszej znajdujemy po wiadomościach z mitologii. Proponowane przez nas zmiany systematyzowałyby treść, a tem samem i ułatwiłyby naukę dzieciom, dla których p. Skirmunt przeznaczyła swą pracę.

Na następująco autorka, historię Litwy dzieli okresy: 1) czasy najdawniejsze do Mendoga r. 1242, 2) Litwa wstająca (do Gedymina r. 1315), 3) podbijająca (do r. 1386), 4) w połączeniu z Polską. Nie mamy przeciwo takiemu podziałowi, proponujemy tylko wprowadzenie nazw, dobitniej charakteryzujących zasadniczo przemiany w dziejach. Czasy „najdawniejsze” przezwaby można „bajecznymi”; „w podbijaniu” różnica rysuje się słabo, wypadłoby przeto dla okresu 2-go i 3-go wymowniejsze wynaleźć nazwy. Niechby w okresie od Mendoga do Gedymina nazywała się Litwa „podbijająca”, a w czasach następnych „potężną” albo „kwitnącą”.

Książeczka p. Skirmunt odznacza się dobrym w ogóle układem, prostotą i jasnością opowiadania, oraz — co się rzadziej zdarza kobietom — pewną naukową ścisłością. Nie masz w niej źle użytych terminów, ani właściwej szczytliwości warszawskim metodą pojęd. Znac, że autorka układała podręcznik z zamiłowaniem i rozważa; że kilkakrotnie odczytała swą pracę, nim ją oddała pod dróko. Przy podawaniu faktów potrafiła chwalebnie utrzymać miarę: nie przedawała książeczki nazwiskami, datami itp. rupciomani, których dziełko strawić nie może.

Zastosowanie *ilości* materiałów do umysłowych dziełka uzdolnion za wielką pożyteczną zaletę, szkoda tylko, że *jakości* nieuspelnienie założeń potrzeby. Dobrem jest to, co autorka podaje; złom, że nie uwzględniła stosunków wewnętrznych. Czytajcie: „król i Witold nadali (w Horodzie) litwinom swobody, jakie mieli polacy” (str. 93), nie wiemy *jakież*; gdy znajdujemy gdzieś indziej, że „Zygmunt August zwrócił szlachcie litewską w prawach politycznych do szlachty polskiej, t. j. nadali litwinom prawa, jakie dotąd w Polsce tylko polacy istnieły” (str. 127), nie możemy odgadnąć, co się stało z wolnościami, nadanemi w Horodzie. Wypadło dokładnie przedstawić różnicę pomiędzy organizacją wewnętrzną Litwy i Polski przed unią.

Biegów w książeczce nie ma, raz tylko stosowana przy podawaniu liczby poległych nieprzyjaciół przesada: 15,000 trupów krzyżackich pod Projden, 30,000 moskiewskich pod Orszą, 24,000 tatarskich na Wołyniu! Wyrażenia: „trzęsienie ziemi wyobrażał sobie... skutkiem gniewu boska” (str. 4), „Lisiodko go (Gedymina) objawił” (str. 57) polskiemu nie są. Niepstrzeżenie autorka krzyżaka Henryka do Plocke wywodzi z Plocka, niewłaściwie Szezein nazywa Sztetynem (str. 55, 59), a Prusy Prusą. Zresztą cudość brzo wrażeń do

bre; trzy piękne mapki stanowią prawdziwą ozdobę pożytecznej książeczki. Sm.

LITERATURA I SZTUKA.

PIOTR CHMIEŁOWSKI.

I.

Mamy przed sobą pisarza olbrzymiej wiedzy, wyjątkowej pracy, zimnej trzeźwości. Już powiedzieliśmy doko — a jeszcze nie dosyć. Bo nie trudniejszego nad określenie człowieka umiarkowanego, „pożytywisty”, który na swym sztandarze wypisał hasło „możliwej obiektywności”. Spytaj przyjaciół Chmielowskiego, towarzyszy, pracujących w tym samym ośm i on zawodzi, nawet owych ludzi „młodych”, z którymi od daw szkolonych szedł razem i łącznie, jakie on wyznaje przekonania filozoficzno-społeczne, jakiego jest „subiektywizm” — odpowiadają ci niedostatecznie, albo wyznają otwarcie, że — nie wiedzą. Przeczytałem wszystkie niemal książki, rozprawy i artykuły jego od najwcześniejszych aż do ostatniego największego dzieła o Mickiewiczu — a znamy się dobrze nie od dzisiaj; czy sądzić, że zdołałem uchwycić ten główny, znamienity rys charakteru, ową t. z. przez Taine’a *une qualité maitresse*, ową właściwość fizyognomii, będącą tem w człowieku, czem zasadniczym akord w melodyi, czem ogólny nastrój w obłazie? Ktoby chciał wynaleźć ten mianownik, do któregoby odnieść należało wszystkie prace i dążenia naszego, bądź co bądź najwspanialszego historyka literatury, ten daremnie by szukał. Zaliczając się do obou t. z. pożytywistów. Rzeczywiście po skończeniu szkoły Głównej, wstąpiłszy wraz z gromadką zwaną „młodymi” (z A. Świętochowskim, J. Kotarbińskim, J. Ochorowiczem) do jednego wówczas pisma liberalnego *Przeglądu*, zapalił się ogniem tej „młodości, ale-słabiej niż inni, chłód zaś dość szybko i przenosił się do *Opiekuna domowego i Nivy* — dwa kolony *Przeglądu*, które wywiesiły chorągiew o kilka odcieni błędną — umiarkowaną. W tym kierunku „umiarkowania” posawał się ciągle, zawiązał nawet stosunki z piśmami konserwatywnymi, których bogom obłudnie nie służył, ale od wszelkiej jaskrawości, radykalizmu i krancowych stanowisk trzymał się zdaleka. Był to naturalny wynik jego temperamentu i uzdolnień. Jeżeli są ludzie metalowi, w których najłatwiej oderzenie wywołuje dźwięk i drganie onaj — że tak powiem — figury, to Chmielowski jest człowiekiem kamienicznym. Bezważliwy, zimny, niezdolny do żadnych silnych uniesień, popchnięty do analizy każdego zapału, nie mógł zapłonąć do jakiegoś ideału. Nie pozwalała mu na to własność jego umysłu, rozwiedzionego a filozoficzności — z hipotezą.

Był i jest głównie krytykiem literackim. Na tem polu zastosował zasady realizmu i utylitaryzmu, podniesione przez młodych pożytywistów. Domagał się od poetów i powieściopisarzy, aby podeptawszy raz idealistyczne formuły, jak „sztuka dla sztuki”, sięgnali do samego źródła — do życia. Wykazywał im, że odgrzydziwszy się chrześcijańskim murem od społeczeństwa, nie czują, nie rozumieją potrzeb ogółu; przypomniał, że po za sferą osobistych, przyłownych stosunków, istnieje ogólniejsza sfera cierpień i smutków, przewyszająca sto-krotnie zawody erotyczne. „Poradzić — wolał do poetów — podobnie śtropy i zjeść-dzio na sienie, pomiędzy pracujących i cierpiących, wesółych i smutnych, wniknijcie w ryny społeczeństwa, a głos wasz opro-

* Die Continuität d. Keimplasmas als Grundlage einer Theorie der Vererbung. Jena, 1885.

mieni ciemności, umili godziny biedy. Prez z bezwiadomem natuchieniem po-
tów, precz z ich magazajskim opalstwem
duchowem, ładamy od poezji skapania
w nurcie myśli zdrowych, mogących w ży-
ty beletyrystyki nowe wład życie, przemie-
nić ją na istotny czynnik *produkcji społecz-
nej*... „Utylizaryzm w literaturze.“ Niwa
1872 nr. 18). Gorętsze to odczawy
skutkowały, lecz apostoł niezawse pa-
miał o społecznem sadzeniu krytyki i by-
wał nieraz w swoich artykułach albo
przedmiotowym referentem, albo też ana-
lizatorem zewnętrznym, rewizorem pra-
widowości w formie. Wtedy — według
przysłowia — drzewa las mu zakrywały.

I dziś w sąsiedztwie powieści lub poematu
przedewszystkiem zwraca uwagę na lo-
giczny pomysł, zgodność jego z życiem,
gramatyczny język itp. Szekapirowi nie
dawałyby usterek zewnętrznych, i wobec
największych obłąków, rewidując dro-
biażki, zapomina często o rdzeniu rzeczy,
o duszy utworu. Rzuci wprawdzie i tu-
taz wiele trafnych i rozumnych myśli, ale
razem czasem drobiazgowością. Nie jest to
wszakże bezduszną korektą naukowicie-
la stylistyki, nie jest to dla żłosieliwej
zabawki podjęte szpikowanie koncepcji-
stów, nie jest to szarpina krytyczna tka-
ców szarych, którzy zwłaszcza w jednym
z pism warszawskich roztawili swe kro-
sna i snują na nich z drwin zwolniki, ale
jest to w każdym razie rzeczi akrapulane
i ze zbyt wielką powagą dokonywane wa-
żenie szczegółów. Jedną z najmniejszych
i najłepszych była ocena „Listów z podró-
ży“ Odyńca (w *Athenum* 1878). Chmielowski
ma zwyczaj zbierać w pewno grupy
najnowsze wydawnictwa w zakresie współ-
czesnej nowelistyki, poezji, pedagogii itd.
ze szczególnem uwzględnieniem „pierwo-
cin autorskich i debiutów.“ W krytykach
tych zachowana zawsze „możliwa przed-
miotowość“, a widać w nich sumiennność
i gruntowną znajomość rzeczy, ale myśli
krąży tuż nad ziemią. Chmielowski od-
dalałwa przeciwko bujaniu pod niebiosa
i sam też wysoko nie wlatwa. Wiecznie
chłodnym słowem nie porywa, nie wstrzą-
sa, nowych drogokazów nie zatyka, ale za
to utoży stapać pewno i prosto. Dotąd kry-
tyka nasza nawet w przedmiotach pozy-
tywnych ozerpie najchętniej z powietrza,
śmieszko prawdy brednie, jest nieukształconą,
czasem wprost głupią, choć suchawką.
Chmielowski ze swej obłączmy wiedzy
wylewa na puste lub zapalewne głowy
strumienie zimnej wody. Swoje zasady,
a raczej sądy krytyczne wygłasza bez
względów na sympaty i antypaty oso-
biście, bez względu nawet na to lub owo
stronniostwo.

Nie zapominajmy wszakże, że człowiek
ma pewne przekonania nie na to, żeby go
tylko „w kształcie śladów na mózgu wła-
snym przechował“, a pewne uczucia nie
na to, żeby je „krył pod korem.“ Wła-
ściwie krytyk, tak samo jak historyk, nie
może być ściśle przedmiotowy, choćby
najstaranniej powstrzymywał się od oso-
bistych mniemań. Mimo więc „możliwej
objektywności“ ulega i Chmielowski gu-
stom i pobudkom osobistym, ze jednak
uścisnę zachować bezstronność — to przy-
znać nam trzeba. Wkracza on w najrozma-
itniejsze dziedziny literatury. Krytyki jego
obejmują: filozofię, etykę, historię, nauki
społeczne, filologię, estetykę itd. Nawet na
polu obcem, jak np. w ocenie historii ro-
syjskiej Brtggana, choć nie posiada szer-
szej wiedzy, mimo to kontroluje sumie-
nie na każdym kroku niemieckiego pi-
sarsza. Zerwał on tradycyję naszych panegir-
ystów, rodzących korony swoim ul-
bioncom, a stawiających pod pięgiem
politycznych wrogów, rzekł się „systemu
ukazów z formi“, ale gruntownej jakiejś
reformy nie przeprowadza. „Na szczegól-
ność“ — spostrzegła się krytyka na ko-
nieczności roli, jaką dawniej odgrywała,

a podjęła natomiat zadanie inne: zro-
zumieć przedewszystkiem pisarsza i jego
dzieło, a potem wyjaśnić ich dla siebie
i dla innych, przyprowadzić do wiadomo-
ści to, co każdy mniej lub więcej bezwia-
domie odczuwa, odgadnąć przyczyny dla
czego tak, a nie inaczej dany utwór się
ukazał, o co rzecz najwazniejsza,
o którą głównie krytyce chodzi. („*Athenum*,
1880, III, 153.).

Wiekże zaśluzi niż na polu krytyki po-
łożył Chmielowski swemi studjami nad
historją literatury, w których rosnął
obłączmy erudyty a całą mrowszą pra-
cownością. Jak Chmielowski pracuje i co
wie — trzeba się zdumiewać. Do pamięci
go przylepia się trwać wszystko, co jest
faktem konkretnym, data, nazwiskiem itd.
Jego głowa posługiwad się można jak en-
cyklopedją, bibliografią lub słownikiem.
Spytał go wiele wydań miała każda po-
wiesć Kraszewskiego, albo kiedy zmarł
diesięcioletni autor — bez namysłu od-
powiade. Jego tematy literackie oprowane
są zawsze w ramy dat, a chronologia sta-
nowi główną kategorię jego myślenia.

Jest to zjawisko psychologiczne znane,
że zwykle nadmierny wzrost pewnej wła-
dy umysłowej odbywa się kosztem in-
nych. W Chmielowskim tak rozwinęła się
pamięć, która jest rzeczywiście zadziwia-
jąca. Skutkiem tego wie o i umie bardzo
dużo, ma w głowie zapasy wielkie, ale nie-
raz wydobywa z siebie i zużytkowywa je
bez dostatecznego przerobienia, w stanie
bądź surowym. Porównywano go bądź
z Brandesem, bądź z Tainem — nie wy-
nięjszego. Brandes śledzi „prądy“, pomija
cały ten balast, który Chmielowski do
prae swych wnosi, nie tkwi w datach, nie
trzyma się miejsca, lecz robi uogólnienia
wysokiej potęgi, ogarnia ciagle cały wi-
dnokrąg literatury. Taine kreśli plasty-
cznie, wyraziłsio charaktery literatury,
postacie, jest psychologiem, posiada intu-
icyę, śmiałość, barwistość i dosadność sło-
wa — akurat znowu to, czego w Chmie-
lowskim nie znajdujemy. Nasz uczoney —
to pieszola ze skrzydlami obciążonem wo-
skiem, z którego w ulu literatury wyrabia
komórki. Że nie może od razu napiełnić
ich miodem, to winą nie tylko jego natury,
ale i warunków, wśród których działa. Ta,
niby uprawiana i oczyszczana niwa naszej
literatury obrosta takim chwastem, że
trzeba iśćo Herkulesowego trudu, aby
wydzielić ziarno od śmieci i kłoków. Cały
ogrom tej pracy nad literaturą spoczywał
w ostatnim dziesiątku lat wyłącznie pra-
wie na barkach Chmielowskiego. Wetera-
ni, jak: Tytuszyński i Lewestam w Kró-
lestwie, a Siemiński i Mecherzyński w Ga-
licyi, zmarli; inni, jak Malecki, usunęli się
w czasie, rzadko tylko głos zabierają
i to nie w sprawach żywotnych. Tym, co
pozostali, takim Aërom, Ziembom, Ott-
manom, Triotakom, brak znajomości źró-
deł, myślu krytycznego i gruntowności
w badaniu. Artykuły Chlebowskiego i in-
nych są sporadyczne. Wysoce uzdolnieni,
choć wprost w przeciwnym kierunku,
Spasowicz i Tarnowski, nie zajmując się
wyłącznie tylko literaturą, nie są zawodo-
wymi w niej pracownikami. A właśnie ta
ciąga i nieustanna, sumienna praca zawo-
dowa Chmielowskiego, który z każdym
dnem jakiś nowy kawał niwy literackiej
oczyszczy, obrobi i zasoje, jest u nas wyjąt-
kową i zasługnie na szczerze uznanie. Może
choć, słęsząc nad jakąś drobną kwestją,
rozwinie ją dokładniej, zbada wśzechstron-
niej rozproszoną literaturę, ale na takiej
rozwprawce, albo na dwóch konioży się cała
działalność tych akademicyznych uczonych.
Sta takich pisarszów razem wziętych nie
dorówna ciaglej i systematycznej pracy
Chmielowskiego.

(D. o. n.).

JÓZEF BOGDAN ZALESKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

II.

W wierszu p. t. „Nieskończoność“, pias-
nym na morzu, uniesiony wspaniałością
i szerością widoku powiada Zaleski:

Huknął cudowną, wielką epopeję
Któręż ten wieczność, a Bóg — bohaterem!
I rokoszanie — a stóp mego Pana
Upokorzeń! padną na kolana.

Epopeję taką rzeczywiście „huknął“
(*Duch od stepu*), ale chociaż w niej „roko-
szanom“ kazał paść „u stóp Pana“, wyka-
zał jednocześnie, że do malowania wielkich
obrazów nie posiada ani odpowiedniej siły
umysłowej, ani nawet wyobraźni. Po za
wygląsem wesołych lub smutnych łez swe-
go serca, umiał on tylko śpiewad

Coś o cudach — o sławie
Jakich niby sen czynów.

Same nazwy jego wierszy (dumy, dumki,
szumki, wiosnianki, wniebogłosy, pyłki
znamiętują nie tylko ich rozmiar, ale
zarazem treść i nastroj. Zaleskiemu sło-
przedewszystkiem o śpiewności brzmienia.
Według niego, „*ars poetica*“ — to niewołę
głosu spadkowino, to pełna, strojna, roz-
nośna nuta.“ Dlatego lirycznym swoim nada-
wał tytuły muzyczne („W allegro to w pen-
sione“), lub czysto rytmowe („Ta-na-na-
na, ti-ni-ni-ni“), dlatego tak często używał
przypiewów czysto dźwiękowych. W je-
dnej np. wiosniance powtarza ciągle: „Oj
bied — bied — bied — bied — biedniś my
sobie“, w innej legendzie: „Ho — ho! ho-
bo, Ho — hopl! ho — hopl, cyt — cyt! cyt-
cyt! He — he! he! he! drum — drum! drum-
drum!“, gdzieś indziej: „Ra — ta — ra — ra! itp.
Czasem w tych „niewolagach spadko-
waniach“ w tych „strojnych nutach“ ginie
zupełnie wszelka myśl, a nawet obrazowa-
nie i pozostają tylko puste, melodyjne
dźwięki. Otwórzmy książkę na traf:

Och! serce podłata,
Bo piosenka tam kwili;
Och! dusza bogata,
Bo tęcza myśli!

Albo:

Smuto — pusto — plekane strony
Kraj kwitnący, a zielony
Trzody błada wśród ugorów.

Więc nie „pusto“ — a dla czego „smu-
to“, kiedy „kraj kwitnący“ i „strony piek-
ne“?

Porównania i przenośne Zaleskiego nie
są nigdy prawie barwne, świeże, logicznie
rozporządzone. Piszę on bez skrępow:

Snal przeczyszczi, świełca przypowieść,
Która jak woda rąbkiem przyoblała
Tajone, duszne(?) nagości człowieka (!!).

Bo autor *Rusalek* nie jest poetą barw,
ale poetą dźwięku. Najulubieńszą jego for-
mą są krótkie, szwawe wiersze, w których
doskonale odbija się takt muzyczny, ale
szadnie nieznoć, żaden obraz poetyczny roz-
winąć się nie da. Nieraz przypuszczad-
by można, że Zaleski, biorąc pióro do
ręki, ma w głowie gotowy tylko rytm, pod
ręką, ma w głowie dopiero jakąśkolwiek treść
podkładą. Tworzy tak, jak kompozytor,
ale nie jak pisarz.

Ile razy wszakże usuje sobie jakiś watek
poetyczny, wspiewa go prozaiźnie. Niektóre
z jego liryk mają wdzik niewy-
słowiony, jakiś czar diwny, jemu tylko
własny. Przytoczymy parę przykładów
z wiersza „*Rusalka*“:

He! ptaśki z gniazdek — z gniazdek wy śpochy,
Czas to się przeleć rozruszać trochę:
Strójcie no głoski! Ranne ja ptaśko,
Ja tu najprędzej na gody nasze!

Cyt — cyt — słowiku ze smutkiem swoim!
Niechno się wszyscy zbierzem, nastrosim;
Za mną — ale razem — jak zakochani
Nuż na dzień dobry królowej pani.

Przybiega rusalka i zanurza się w wodę:

Cyt — cyt! Czy woda o clasko pluska?
Czy to rozbrzmienie na wiatr całuska?
Pewnie to ku nam, rada z piosenki,
Raczka od ustek dawała na dzieki,
Żeby to podeszła — podeszła z ostrośnami...
Żeby co widziałeś — coś widziałeś można...
Świeć się ślicznie dalek gwiazdko oczu,
Leż z po za rąbką, niby w otoczku.

Znikła — a poeta kończy:

Zaczarowany Limanu źródeł!
Biała mi odta! W głowie mój młodo —
Młodo, zielono, jako na łące,
I ślisa motyli wleża swawolące.
Lata po leciach zaszła ja swoję!
Moja skrzydlatka Rusalka roje,
Niby na jawie i niby we śnie,
Wiecznie się ku niej składam obłędnie.

W wierszu tym mamy obraz jasny i skończony, co u Żaleskiego nie jest wypadkiem zwykłym. W porównaniu w Mickiewiczu. Ujejskim, lub też lirycznym nowymi, którzy nawet w najdrobniejszych utworach przedstawiają jakąś zamkniętą oś, wydaje się niższym. Można niożyć długą szereg z jego dum lub smutek, które wygładają jak gdyby nieskończone. Czytamy np. długą opowieść u księżnej Hanco, z dramatycznym wstępem i na końcu dowiadujemy się tylko, że była piękna, uwielbianą i miała czarne oczy. Nawet szerzej osnowy rapsoedów Żaleskiego ścieśniali do drobnych wątków lub wysypiewał ułankowo („Damian” itp.).

Ani tego rodzaju, ani tych przekonani poeci polscy już nie żyją i nie rodzą się. Żaleski tkwił we współczesności naszej jak klejnot przechowany z czasów, które już daleko od nas się odsunęły, których słabe echo zaledwie odbija się czasem o życie dzisiejsze. Liczył też ów Bojan polski już lat 84, gdy mu śmierć kazala leżeć, ale nie w tej ziemi, którą kochał i opiewał. Pomimo sędziwego wieku nie brakoby mu jeszcze sil do tworzenia, gdyby świadomie lub bezwiednie nie czuł, że już li-czyenych i odpowiednio nastrojonych słuchaczów nie znajduje. Naród ciegły oczył swego pioseniarza i nie zacierał nad jego głowę nimbusu sławy; ale szukając natychmiast i balsamów w poezyi, oglądał się za innymi, którzy lepiej znali jego potrzeby, tęsknoty i smutki. Oo śród potarganych stonoków, silnych wtrząszeń, grzmotów i błyskania, oo śród pkania węgłd społecnych, wrzawy, gwaru, ryku mógł robić Żaleski? Podczas burzy skowronki milkną i kryją się — nie dla ich śpiewu ta pora. Nawet w brzmiaonym obecnie chosio głosów maloruskich i słowiańskich nie mogli on podnieść swego, on, który zaledwie umiał chwalić Boga za — nawrócenie się bulgarów.

Piosenka! Hej, chwilkę!
Chwilek tych kilka
To rżnąć chciały
Na wiek cały.

Taką chwałę Żaleski zdobył i rzeczywiście na nią zasłużył. Nikt zaś lepiej nie określił jego muzy, jak on sam w tym niemiernie trafnym dwuwierszu:

Niech co chcą i z orkiestra grama muzykotorce,
Ja duto bez zachodu wygram na bandurce.

Istotnie, był to poeta bandurki, wygrający na niej to samo, co inni „z orkiestra.”

H.

LITERATURA POWIEŚCIOWA FRANCUSKA.

Paryż, 27 marca.

L'Oeuvre Zoli i *Orine d'amour* Bourgeta. — Pessymizm i mistycyzm.

Powieść, narówni z innymi gałęziami piśmiennictwa, zajmującymi się człowiekiem, ulega gruntownej przemianie. Rozwój poglądów zasadniczych i metody w biologii, psychologii, socjologii, w naukach społecznych, historii, estetyce... oddział się na niej. W epoce romantyzmu powieść była utworem fantazy, fantastycyzmem stoli były podówczas zarówno: filozoficzno-psychologiczne rozmyślenia, dyalektyczne systemy prawa i ekonomii politycznej, uogólnienia wreszcie i wątki historyczne. Dziś — inaczej. Powieść, według trafnego wyrażenia Edmunda Goncourt'a, stała się historią ludzi, którzy nie mają historii. Jako nauka ludzkiego życia ma ona swój zakres specjalny, bada i opisuje człowieka jako całość psychologiczną w różnych przejawach jego osobistego i towarzyskiego pożycia, a na tem bogactwem i wdzieniem polu nie ma współzawodnika. To zaś, że oparta na spostrzeżeniach bezpośrednich i danych, jakich jej dostarczają nauki, udziela jeszcze miejsca syntetycznej wyobraźni i przybiera się w szatę estetyczną — nie ujmując jej to wcale naukowego charakteru. Czyż wyobraźnia i forma artystyczna nie grają ważnej roli i w innych gałęziach wiedzy? Zmiana ta w charakterze powieściopisarstwa najwcześniej zaznaczyła się we Francyi, w szkole realistyczno-naturalistycznej i ta się najpełniej rozwinęła. Utwory Goncourtów, Zoli, Daudeta, Flauberta i tyłu innych pisarzy tego kierunku są, niezależnie od swej formy artystycznej, studjami psychologiczno-społecznymi.

Z dwoma właśnie najnowszymi okazami tego nowego powieściopisarstwa postaram się zapoznać bliżej czytelników.

Pierwszeństwo należy się najnowszej powieści Zoli, którą ukonczył wczoraj paryski *Gil Blas*. Nosi ona tytuł *L'Oeuvre* „Dzielo.” Autor, jak już o tem dawniej wspominałem, starał się w niej nakreślić historię artysty i obrazu, któremu on całe swe życie poświęcił i umarł niedokonawszy dzieła. Bohater jest geniuszem, który toruje nowe drogi w sztuce, otacza go zaś całe grono młodych nowatorów, wnoszących to właśnie nowe idee w różne dziedziny pracy twórczej. W grupie tej przedstawił Zola początki realistycznego swrota we Francyi za drugiego cesarstwa. Klauudyas Lantier (brat Stefana Lantier w *Germinie*), artysta-malarz, będący tu postacią główną, jest prawie portretowanym, zmarłym już dawni malarzem Manetem, który dat pozostał we Francyi szkole „imprysonistów,” inaczej zwanych szkołą wolnego powietrza, *L'école de plein air*.

W osobie znów przyjaciela Klauudyasy, powieściopisarza Sandoza, Zola portretował samego siebie. Istotnie też blisko związki przyjaźni łączący go z Manetem. Klauudyas Lantier, równie jak jego pierwowzór, umiera młodo, nie pozostawiając żadnego skończonego arcydzieła. Zabija go ogromny wysiłek, jakiego potrzebuje wszelka nowo podjęta idea, spotykająca przy tem pistrzającą się zewsząd prozakszją. Lantier reprezentuje w całej cyklostyi typ nowatora, niewohodzącego w żadne układy ze szkołą dawniejszą i otoczeniem. To go właśnie przynigłata. Nie sama przytem sztuka wypełnia jego życie. Kocha on kobietę, Krystynę, która następnie zostaje jego małżonką. Miłość ta walcy w nim z zamilowaniem da sztuki, co przyczynia się jeszcze bardziej do tragicznego rozwinięcia. Klauudyas stoli upada, nie stworzyłszy nie wielkiego, nie dlatego tylko, że był geniuszem, torującym nowe

ścieżki, lecz dlatego, że nowy ten kierunek nie skryształizował się w nim jeszcze ostatecznie, że pozostały w nim reszki dawnych poglądów, zamięsających nowe wyobrażenia.

Przysłuchajmy się zresztą rozmowie Zoli-Sandoza z malarzem Bongrand, jedynym przyjacielem Klauudyasy i starszego pokolenia. Bongrand pomował nowatora i sympatyzował z jego dążeniami. Z całego grona dawnych przyjaciół on dwaj tylko idą za trumną zmarłego artysty. Sandoz wyraża przekonanie, że musi się narodzić nowy człowiek, który doprowadzi lepiej i skutecznie do końca dzieło, rozpoczęte przez zmarłego.

„Kto wie? nie zawsze tak bywał — odpowiada Bongrand. — Życie nas także poronienia. Oo do mnie, jestem zrozpaczoany. Smutek mnie przynigłata i cuję, że wszystko wokolo pada w gruzy. Ach, tak! powietrze opoko jest niezdrowem; ten koniec stulecia, zawalony ruinami, zionie śmiercią. Czyż można czuć się dobrze w takim otoczeniu? Nerwy się rwą, ognaria nas zdenerwowanie, sztuka się męci... Nad tem zwalkami unosi się zgłębliwy gwar polemienicy. Nigdy tak sawieście nie spierano się i nigdy nie widziano tak metnio, jak od chwili, kiedy powzięto pretonayę poznania wszystkiego.

— Było to koniecznem — mówi pógłosem Sandoz. — Ten nadmiar czynności i zbytek zaufania do wiedzy mnsiał nas zepohnąć w zwątpienie; wiek ten, który tyle już rozjaśnił, musi się kończyć pod grozą nowej fali pomroku. Tak jest, nasz rozstrój stąd pochodzi. Za wiele obiecywano, za wiele się spodziewano; oczekiwano ostatecznego zwycięstwa i wyjaśnienia wszystkiego — zniecierpliwieni dziś szemrzają. Jakto, dlaczego nie idziemy naprzód dość szybko! Nauka po stu latach nie dała nam jeszcze zupełnej pewności i doskonałego zszczęszenia... Wyraża się tody zwątpienie. Pesymizm rozrywa nam wnetrznosci, mistycyzm zaciemnia mózgi; nadaremnie odpędzamy widziadła wielkimi rzutami analitycznego światła, nadprzyrodzone rozpoczęła znou atak; duch legend buntuje się i chce nas podbić na nowo, korzystając z chwilowego naszego wyczerpania i zmęczenia. Nie chce nie twierdzić stanowczego, sam bowiem czuje się rozdarty, zdaje mi się jednak, że ostatnia ta konwulsja starego obędu religijnego była do przewidzenia. Nie jestemy kołosem, lecz faza przejściowa, początkiem czegoś nowego... To mnie uspokaja, sprawia mi przyjemność to przekonanie, że idziemy naprzód ku rozumowi i pewnością wiedzy... Oby tylko — dodaje — szaleństwo wszystkich nas nie zepohnęło w otchłań i żebyśmy nie upadli wszyscy zgnieceniem przez ideał, jak ten stary towarzysz, który tam oto spł...”

Ustęp ten maluje nam dobrze obecny nastroj wybitniejszych umysłów w społeczeństwie francuskim. Bohater *Dziela* upada właśnie zduszony przez dawny ideał, jako człowiek przejściowy. Iuni z młodego grona idą na marno, lub wohodzą w układy.

Dla uzupełnienia przytaczamy jeszcze ciekawy ustęp, w którym Sandoz-Zola wyjaśnia nam genezę Rougon-Macquartów, własnej powieściowej epopei.

— Chodzi mi o to — mówi w toku przyjaźielskich wyrzuceń — zabędo abo człowieka takim, jakim jest, nie tylko ośczę jego metafizyczną, lecz człowieka fizyologicznego, uwarunkowanego otoczeniem, działającego pod wpływem wszystkich swych organów... Czyż nie jest farsą to cągłe i wyłyczne badanie objawów mózgowych, pod pozorem, że mogą być jedynym, salachotnym organem? Mysł i cągłe myśł! Na Boga! myśł jest produktem całego organizmu. Każde działad mózgowy samemu, zobaczcie, czem stanie się ta jego

szlachetność mózgu, gdy żołądek jest rozstrojony. Nie, jest to głupota. Ani filozofia, ani nauka nie amusz nas do tego. Jesteśmy pozytywiści, ewolucjonistami, a tymczasem hodujemy jeszcze literackiego maniekina z ozasów klasycznych... Kto wywamnia słowo psychologia jest zdradzą, Zresztą, fizjologia, psychologia nie ma tu żadnego znaczenia, jedna przeniknęła druga, w rezultacie sąs many człowiekowi całkowitego. W tem leży właśnie formuła, nasza społeczna — rewolucyjna nie ma innej podstawy; jest to konieczna śmierć starego społeczeństwa i narodzenie się nowego. Literatura idzie w to ślady; zobaczmy tę nową sztukę, która skielkuje w wieku przysyłym z ziarn raczonych przez naukę, na gruncie uprawianym przez demokrację... Chceś tedy — powiada — wziąć pewną rodzinę, szabad jej członków po kolei, zobaczysz skąd wychodzą i dokąd idą, jak oddziaływały na siebie, słowem ludzkość w małych rozmiarach. Następnie umieszczaj mych postaciów w okresie historycznym zakończonym, da mi to otoczenie, kawałek historyi itd."

W ostatniej swej powieści *Un crime d'amour* (zbrodnia miłości) poruszył Bourget nie starszejjacy się nigdy sprawę miłości wobec tych powikłań, jakie wytwarzają dzisiejsze stosunki towarzyskie. Bohaterem jest niejaki Armand de Querne, człowiek wykształcony, przepędzający zresztą życie na zjadaniu 30,000 fr. rocznej odziedziczonej renty i latwych stosunków z kobietami. Powieść bierze go w chwili, kiedy bohater dochodzi czterdziestki. Do Paryża w owym czasie sprowadza się szkolny jego kolega i przyjaciel Alfred Chazel, zamężny od lat kilku z kobietą niezwykłej piękności. Alfred, matematyk z zawodu, "zrodzony dla studiów, długich, powolnych refleksyj i pracy niczem niezamąconej," mimo swej gorącej miłości dla żony, nie umiał pozyskać jej przywiązania. Był człowiekiem skromnym, niezgrabnym i zamkniętym w sobie, nie umiał więc ująć niw nawet swych uczuć. Armand przeocniw, mimo prócz wewnętrzną i przesytność oświaty, wybornem ułożeniem, inteligencją i tym podobnem zaletami. Zajęty jest zresztą wyłącznie uwodzeniem kobiet — ma więc w tym zawołdzie wiele wprawy. Helena spragniona wielkiej, głębokiej miłości bierze pozory za rzeczywistość i zostaje jego kochanką. Niebawem zresztą przekonywa się, że Armand uważa tę miłość za nie pierwszy i nie ostatni kaprys z jej strony. Tymczasem Alfred zwiżywszy początkowo bezgraniczne zaufanie dla żony swą i przyjaciela, wpada na ślad pewnych podejrzeń i po długiej walce z sobą udaje się wprost do przyjaciela swego i kolegi z prośbą o dopomożenie mu w wyjaśnieniu dziwnego uoposobienia żony, nad którym boleje od dawna. Mówi wrzeszcie otwarcie: Jeżeli Helena kocha kogokolwiek, usunę się, zabrawszy swego syna i postaram się zacząć życie na nowo. Pożądani — powiada — mężami, którzy szukają zemsty. Mąż taki bowiem, albo nie kocha swej żony, a wtedy idzie tylko o pomazczenie próżności własnej, albo też kocha ją, a wtedy zręce się jej winiem dla jej własnego "zrośczenia". Zapytuje go wrzeszcie wprost, czy czasem on nie kocha Heleny, chociaż się jej wzajemności?

Armand daje przyjacielowi słowo honoru, że z małżonką jego łączy go jedynie związek żywej przyjaźni, co Alfred przyjmuje z zupełnem zaufaniem. Zwierzenia to jednak, dale słowo honoru dla niezdradzenia drugiej strony, upokarzają Armanda. Miał przed sobą przyjaciela, który położył w nim ośro zaufanie, który żonę swą kochał aż do najszczęśliwszego poświęcenia — on zaś robi sobie z tego stosunku niezaczynną zabawę. Postanawia tedy zerwać natychmiast poniżający go związek, w tem przekonaniu, że Helena jest również płochą tylko zalotnicą. Pisce

tedy karteczkę do swej kochanki i wynurza jej otwarcie swój zamiar, dając prztem wyraźnie do zrozumienia, że nigdy jej na prawdę nie kochał i że ona także nie pierwszy z nim miała stosunek. Obłączył on tem plottki, który Armand zbyt łatwo zawiarył. Wynurzenia te przyprowadziły do rozpacz Helę, która w miłość tę włożyła cały zasób bogatej swej dziewięcioletniej namiętności. Oszalała z bólu i ponizienia, których sprawca, człowiek przez nią ukochany, meci się, oddając się przelotnie miłości, który — jak mówiono — był niegdyś jej kochankiem. O tym swoim upadku sama zresztą zawiadania Armandu. Wtedy dopiero poznaje on, czym była dla niego miłość Heleny i jak niegodnie on, człowiek zdemoralizowany życiem i otoczeniem, miłość tę zasałgał. Uczuwa on wówczas, że budzi się w nim rzeczywista miłość ku zawiadzeniu. Wszystko już jednak skończono. Armand wyjeżdża do Anglii, Helena zaś zapada w chorobę, z której wychodzi wyniszczona, ze słowem poświęcenia na ustach dla syna i męża. Armand wraca po swoż przeobrażenie, oboje zresztą żyją już nadal, religiją ludzkiego cierpienia.

Jeszcze więc raz pesymistyczny mistycyzm unosi się po nad padolemi żądź ludzkich. "Cala cywilizacja" — powiada autor ustami swego bohatera — wydała mi się jedną wielką orgią, życie starciem sił ślepych i niezących, zbirowiskiem złych potęg, które się borykają brutalnie. Prostytucja w dołu, cudzołóstwo z góry — oto w co się obraca najszlachetniejsza z ludzkich uczuć — miłość."

Tło i wywoody — jak widzimy — niewesołe. Co prztem stanowi charakterystyczną cechę tego pesymizmu, jaskrawiej występującego u Bourgeta, niż u Zola, to brak w nim idei, indywidualnej i społecznej odpowiedzialności za popełnione zbrodnie i wykroczenia, a jednak w tej jednostkowej i zbiorowej poprawie szukaćby należało punktu wyjścia. Obrazy nie wyszedł tak czarny... Zapewna, autorowie jednak malują przedewszystkiem tło ogólne, a tło to jest czarnem, zora są kryje się jeszcze daleko poza widnokręgiem. Nie i mistycyzm rozaczajacy tymczasem nad światem swe nietopierze skrzydła.

P.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

(Veto Meletusów).

Sokratesów brak społeczeństwom czołst, Meletusów — nigdy. Ci nie wymierają, bo potrzeba tylko troszeczkę pieśni, ażeby się w niej natychmiast rozrodzić niezliczona masa. Są to ludzie w każdym wymiarze mali — mali myślą i uczuciem, mali celami i niecierpliwością, ofiarą i zemstą, malimi dawkami, każdym ruchem swego mózgu. Wielkie idee odbijają się w ich duszach, ale tak, jak słonco w odłamku słonecznego zwierciadła. Na chwilę potężna siła wyrzuci ich w górę, gdzie błyśnąć gładką powierzchnią, ale zaraz spadają na ziemię. Zdaje się czasem, że pojmują ważną sprawę, że zdolni walczyć za święte hasła; wkrótce wszakże zapadli ich miedle, nie mogą wytrzymać długiego natężenia i wraca do ułgłości pobudkom osobistym. Wtedy wdziewając czerwono lamowany strój "opinii" i jako jej posłańcy rozosłają plottki, marne intrzygi, drobniarzy, rozdepta jak kolorowe baloniki i sprawiające radość dzieciom. Posiadają oni dziwny talent przerabiania wielkich rzeczy na małe, a małych na duże. Nadowszystko zaś lubią oskarżać, oskarżać kogokolwiek i o co-

kolwiek, zwłaszcza zaś każdego, kto ich bodaj calem przerosł.

Tym to Meletusom my zawdzięczamy proces z p. Śnieżko-Zapolską, prasa — przykład dochożenia pretensyj literackiej drogą sądowną, a publiczność — wnoszą widok autorów polskich, domagających się surowej kary na redaktora i jego współpracownika za — krytykę.

Bez tego ukrytego za kulisami chóru, ani my, ani nasi czytelnicy nie zrozumieliby: czemu spór w istocie drobny tak rozciągnął aż do twierdzą magnoburskiej aż do miast warszawskiego, czemu przez sześć miesięcy zajmował uwagę publiczną, czemu zbudził tyle namiętności, czemu dołdł ti się, czemu jego zarzewie będzie niezasadnie przechowane dla nowych podmuchów? Wszakże większa część redaktorów warszawskich pozaywa była o potwarz, wszakże autorki nasze uległy bardzo gwałtownym napadom, wszakże najostrejsze starcia literackie ograniczały się zawsze do bezpośrednich przeciwników — czemuż nigdy nie nadawano tego rodzaju wypadkom takiego rozgłosu, czemuż nigdy nie zagarniano ze współpracownikami redaktorów? Gdy przed kilkunastu laty jedna z gazet bolesnie oskalpowała pewną autorkę, polemizowano tylko z krytykiem i nie wniesiono skargi do sądu. Gdy niedawno inny dziennik w Poznaniu ciężko zmieniwał wydawcę jednego z naszych *Kurjatorów*, obratony zaśladał satysfakcyi od korespondenta, a dopiero, gdy kryptonimowi nie chiano zdemaskować, od redaktora. Postępowanie to bardzo naturalne, gdyż współpracownicy redaktora nie są ani jego słubami, ani małoletnimi wychowankami, lecz ludźmi dojrzałymi, odpowiedzialnymi za własne przekonania. Czemuż nie przyznano im tych przywilejów w *Przeglądzie*? Czemu poważono się nawet zaprzeczać niepodobności zdania p. Popławskiego? Wszystkie te zagadki byłoby nierozwiązalne, gdybyśmy nie pamiętali, że Meletusi są i kim są.

Nie jestem Sokratesem i żadnego z moich Meletusów do nieśmiertelności nie pragnię, bo sam do niej nie dojdę, ale ich mam. Jeżeli więc wytoczono proces literacki, jeżeli do niego wciągnięto i mnie, jeżeli nawet ja byłem główną tarczą dla poisków oskarżenia, to wynika stąd, że przepłoneone torobki żołciowe potrzebowały jakiegokolwiek sposobności do upustu. Czy p. Popławskiego również to spotka — nie wiem, ale co do siebie najmocniej wierzę, że gdyby przyjechał do mojego domu ciotyczny dziadek, zamówił buty, a dostawczy zbyt cięzko, nie chciał za nie zapłacić i pozwany został przez szewca, moi Meletusi przysililiby mu, ażeby mnie laśnie zaskarżył.

Ale może istotnie popełniono w moim domu, w mojem piśmie wielką zbrodnię? Nie będę przypominał zniewag nazynnych autorom gdzieśniesz, puszczonych bez protestów i pozwów; nie będę oświełł strony prawnej sporu, którą znakomicie rozstrząsnął obrońca nasz p. Skrzyński; zapytam tylko, czy literatura, która chwyliła się aż pod opiekę sądu, odmówiono możliwości odparcia zarzutów na właściwem polu? Czy ona przyszła do *Prawdy* replikę? Czy, pominiwszy to pole walki, stanęła przed trybunałem państwowym z jakąś garścią błota, które każdy błotem nazwała, z jakimś kamieniem, który niewątpliwie ranił? Bynajmniej. Przyszła ona krolęćką grzązkiego potu, który mnisiano aż przyprawiając dodatkami, ażeby z niego zrobić oś, co, obraca ośką kolbecą. "Krytyk nazwał ją "romantyczką" — romansową" z rozkiełnżną wyobraźnią," posadził okroślenie myśli i wypadków "przeżytych." To było owem straszem "corpus delicti," o którym kronikarz *Kurjatora* coś, powiedział, że nie można powiesićiopsiarze przyznać nie — pochlębiającemu. Przypnęmy wszakże, że ona to zrozumiała inaczej, Jo-

brzo. Hektor nazwał męcnego Achillesa zającem. Obratony wódz greków wyważył go; dosięgnął się pojedyńku, gdyby trojańczyk osłodził, że nazywając Achillesa zającem, miał na myśli jego szybkość w biegu? Nie—ale—jeśliby nie słuchał Meletusa? Darnie p. Popławski zapomniał, że o życiu autorki nie wie, że opiera się na własnych jej słowach—p. Śnieżko była obrażalsza niż Achilles, bo tak chcieli Meletusi.

Krytyk posądził ją o „przeróbki”; to było za słabe — wysubrowano „plagiut”. Ani na język, ani na pióro niechętnie wziął wyraz pierwszy, natomiast cisnął się drugi. Zdawało się, że słyszemy szept rozpamiętyw: królestwo za pięprzną obelgę — a pięprzną obelgę nie było, pomimo badań mikroskopowych nad słowami rezensyi, pomimo analiz z najczulszymi odczynnikami etyki i prawa. Stała czarno na białem wydrukowana „przeróbka” i nie więcej. Co do jednej powiatki p. P. powtórzył ten zarzut za innymi, co do drugiej — zawierzył własnej pamięci. Czy ona go w szczegółach nie zawiodła, czy wspomnienia mu się nie zmieszały, czy dostrzegłszy w pomysłach pani Zapolskiej pewne pokrewieństwa z cudnymi, nie powinien był poprzestać na ogólnikowym zaznaczeniu braku oryginalności i pożyczki tematu—to są kwestye, które możnaby nawet rozstrzygnąć uznaniem omyłki ze strony krytyka, ale to nie są kwestye, które by należało rozstrzygnąć w sądzie państwowym. Shakespear brał tematy gotowe — każdy powieściopisarz historyczny „przerabia”. O ile wszakże zarzut podobny ma dla autorki wagę i może jej sprawić przykrość, o ile jej obelga obalenia go jest naturalną, o tyle bez uprzedmiotnienia sobie natury meletusowszą trudno pojąć rozumiejącie się ludzi, po za sporem stojących, sprawą: czy powiatka p. Śnieżko Zapolskiej „Gdybys ożyła”, jest „przeróbka”, czy też nie. Jakże to wzniosła idea, jakie to hasło do walki!

Przyznanie komuś słusności nie kosztowało mnie nigdy więcej, jak przyznanie się do łobzy przeżytych lat. Pod grzbą wszakże nie powiem napastnikowi nawet, jak się nazywam. P. Śnieżko-Zapolska, czy też Meletusi, wniósłszy skargę do sądu, uniemożliwił nam wszelki literacki rozbiór jej pretensyi. Cokolwiek bowiem reklamują na jej korzyść, byłoby wylomowane jako objaw bojaźni. Dziś gdy zaś stracha na wróble wyrzucił i wyrokiem swoim dał skardze stanowczą odprawę, możemy mówić swobodnie. Jeżeli autorka *Akwalei* i walcząca za nią Meletusi przypuszczali, że z tego wyroku ukucmy przeciw niej nowy grót—to się grubo omylili. Wogóle przypuszczali, że cała skapuczyła fatalnie ich zawiedla. Nabili miserny klucz mojemu ładunkiem, włożyli go do ręk niedoświadczonej i nierozważnej kobiecie, kazali jej przyłożyć do prochu zapalnik i ku nam wymierzyć. Nabój dziurkę klozza rozzerwał i strzelającą osłabił a w nas nie ugodził. Oprócz tej krzywdy osobistej, wyrzadzili oni ogólną, zrobili niesumienne zamach na ograniczoną swobodę słowa, zaszli literaturę naszą przykładem przenośzenia sporów literackich na pole kryminalów. W naszym procesie sąd nie dał się uwieść sztucznyemu pozorom skłamanej krzywdy, ale czy on zawsze będzie mógł lub chciał odrzucić pieniężną skargę? Z każdego artykułu dziennikarskiego da się wydrzeć przestępstwo, z dosadnego wyrazu — obelga lub dyfamacja. Przed kilku dniami *Pras* napisał naturalistyczną *zronikę*, w której opowiada, że pewien król murzyński, wzywa telegramem dwu naszych podróżników, ażeby powrócili, gdyż on ma już 100 lat a jego śny od widać do białych—dzieci nie rodzą i buntują się. Przy dobrej chęci — pisanym materiały do procesu o potwarz!

Ale nie przerażajcie się czytelnicy obawą rozkwiu polemiki w sądach karnych. Nie każdemu los dał Meletusów. Gdy Lam unurzał p. Śnieżko-Zapolską — ludzie śmieli się, nikt o procesie nie myślał, a dwunożne „opinie” i „całe Warszawy” nie próbowały nawet „oburzać się”. My dopiero wprowadziliśmy je w ruch. Trzeba było widzieć, jak te „opinie” i „całe Warszawy” uwijały się, norkowały, z jakim nabożeństwem wznosiły warok ku artykulom Kodeksu karnego, jaką bołoczą w zawadzie, jaką rozkosz sprawia im dotąd myśl: gdyby tak sąd skazał... Spółnie marzenie Kosińskiego nie zapewniłoby im większego szczęścia.

Do tego jest człowiek zdolnym, kiedy jest małym. Straszny rodzaj! *)

Posel Prandy.

NA WIDNOKREGU.

Jeszcze jeden kwestyonaryusz. — Sprawa, która trzeba byłoby wytłumaczyć. — Metoda hrubieszowska leczenia wielokrotności. — Lublaniak. — Wystawa. — Spółdano odpowiedź. — Dobry rezultat zlej rzeczy i zły jej rezultat.

Jeszcze jeden, ale — zdaje się — najciekawszy... kwestyonaryusz. Kilku adwokatów warszawskich opracowało szereg pytań; odpowiedzi na nie posłużyła kwestya do ułożenia zasad etyki obrońcy. Kwestyonaryusz ten ogłosiła *Gazeta sądowa*, wzywając wszystkich obrońców miejscowych i prowincjonalnych do nadawania swych uwag. Wiedzieliśmy, że w Królestwie Danów coś się popsło, ale nie spodziewaliśmy się, że jest tak źle. Jeżeli wolno pytać się: czy godziwem jest udzielanie podświadczenia prawdy, czy adwokat może przyjmować udział w czynnościach, skierowanych na obejście praw osób trzecich, czy usprawiedliwionymi są wykryte proceduralne, czy wolno dotykać spraw osobistych przeciwnika, wyznania jego, zmyślać fakty, zwałować winę na współoskarżonego bez potrzeby i dowodów, wpływać na sędziów itp. — to coś mówić o etyce ludzi, dla których kwestye tego rodzaju mogą być jeszcze wątpliwymi. Są to wykroczenia niezaprzeczane, ale jeżeli nie wszystkie, to niektóre z nich w pewnych okolicznościach nie będą występami, co zresztą stosuje się do wszystkich prawie czynów ludzkich. Okoliczności tych żadne przepisy formalne określić nie potrafia, projektowana zaś etyka obrończa jest na wskroś formalna, kasuistyczna i nie może być inna. Nadei pytania słuszne mogą za wzór prawdziwie chińskiego formalizmu — np. jaki powinien być ułóbek obrońcy, jak należy przemawiać do kolebów starszych i młodszych i t. p. Kwestyonaryusz zapytuje nawet: jak należy traktować dependentów? Szkoła, że dla dokładności nie zapytano jeszcze: czy można oszukiwać klientów, fałszować dokumenty, przywłaszczając wygłaskiwane sumy lub bie interesantów.

Wszystkie te etyki spoczywały są tylko wstrętem i szkodliwym moralnie i społecznie uprzedzeniem samobłota korporacyjnego. Dziś już w imię zasad swojej etyki lekarze, którzy biorą za wzięcie rubla lub więcej, potępiają kolebów za to, że udzielają porady niezamówionej po 25 kopiejce, P. p. adwokaci nie pozostają w tyle, ale pytają także, czy można podejmować

się sprawy cywilnej przeciw kolebom, lub czy można mu w imieniu klienta wytaczać proces karny. Gdyby odpowiedzi brzmiała, że nie wypada, obrońcy wytworzyliby w społeczeństwie klasę wolną od wszelkich zobowiązań i wszelkiej odpowiedzialności. Zasady etyki ogólnej powinny wystarczyć adwokatowi, jak wystarczą ludziom innych zajęć, którzy oddzielnych kodeksów moralności dla siebie nie tworzą. Każda korporacja, posiadająca odgraniczone pole działania, wyrabia sobie pewną etykę profesjonalną, która wszakże nie może być obowiązująca, ani też samodzielna i przepisy jej podlegają i stosować się muszą do ogólnych zasad moralności. Kwestyonaryusz stwierdza tylko, że poziom etyczny stanu obrończego stoi nisko, jeżeli najprostsze wymagania uczciwości i przywódcy podlegają mają rozstrzygnięcia przez głosowanie. Żadne przepisy formalne poziomu tego nie podniosą, jak nie nakazą ludziom szacunku i uznania dla adwokatów, jeżeli ich, chociażby zgodnie z etyką własną, ale wbrew zasadom moralnym ogółu, postępować będą.

Istnieje przecie u nas osobna etyka zastawczego, która posiada jessze spory zakres wyznawców. Jest ona bardzo łaskawą dla ludzi „dobrze urodzonych” i rozróżnia ich z pewnych, delikatnie mówiąc, „niedokładności” moralnych, popołnionych względem „le urodzonych”. Ale nie sądzę, żeby znalazł się salachio ucziwy, któryby nie potępiał oszustwa, chociażby przedmiotem jego był obchłub lub żyd. Dlatego też nie podaję na pewno, ale zaznaczam wiadomość, zamieszczoną w *Warszaw. Dzienniku*, że w okolicach Puław obywatel ziemski umówił się z włóścianami o sprzedaż majątku, wziął od nich zadek, kiedy zaś znalazł lepszego kupca, a nabywcy nie chcieli zerwać się dobrowolnie umowy, zerwał ją i zadek zaparł. Fakt zupełnie możliwy, ale nieprawdopodobny wydaje się ta okoliczność, żeby opinia publiczna pochwalała postępki oszustu lub nawet przyjęła go obójnie. Korespondent zwraca się do pism polskich codziennych z prośbą o potwierdzenie tej wiadomości, sądząc, że może opisanie faktu skłoni owego obywatela bądź bezpośrednio, bądź pod naciskiem opinii publicznej do naprawienia krzywdy. Chociaż wezwanie to do nas skierowane nie było, powtarzamy je, gdyż przede wszystkim należy wyjaśnić, czy fakt opisany istotnie zdarzył się, a jeżeli tak, czy o oszustwie tem ludzie wiedzą? Dopoki sprawa nie zostanie w ten lub inny sposób wyświetlona, wstrzymać się musimy od wywołania sądu, ale nie potrzeba chyba dodawać, że w danym wypadku bardziej niż kiedykolwiek powinniśmy zbadać stan rzeczy i śmiało ogłosić prawdę.

Czytelnicy nasi pamiętają owych włóścian hrubieszowskich, pokąsanych przez psa właściciela, którym Pastur ofiarował nie tylko bezpłatną kurację w Paryżu, ale nawet zobowiązał się zwrócić koszt podróży, którzy jednak do Paryża nie pojechali. Obecnie *Gazeta lubelska* na podstawie raportu niezmiłnie powiatu, donosi, że dwóch tych biedaków umarło. Ale dla szawy powiatu hrubieszowskiego było tego zamak. Przed kilku tygodniami pokasał znowu pies właścicieli osiem osób we wsi Molodiaty. Tych już nie próbowano nawet wyprowadzić do Pastura, lecz postanowiono leczyć ich w domu sposobem hrubieszowskim, który polega na tem, że chorzy obowiązani są przychodzić raz na tydzień do lekarza szpitalnego, ten ich ogląda, konstatuje stan zdrowia i wyprowadza napowrót do domu. Do szpitala pokąsanych nie przyjęto, ponieważ nie mają środków na opłacenie kosztu kuracyi, co tydzień więc biedacy muszą odbywać podróż pod groźbą odpowiedzialności za nieposłuszeństwo. Podówczas gdy z Odessy, Smoleńska, gubernii włódzimirskiej i innych miejsc

*) Kto nie wierzy, niech zobaczy nową odmianę „kobiety z wędłem”, czyli: p. Zapolską i p. Świętochowską w *Dzienniku dla wszystkich*, gdzie jakichś szowinistę ostrzykuje nas gwałtowną szofelą. A jak ostrzykuje!

wości Rosyi wysyłają chorych do Paryża, a nas stosują się własna metoda leczenia, która jednak, o ile z dotychczasowych rezultatów sędzić można, nie wytrzymuje porównania z Pasteurowską. Ciekawość, ile z tych nieszołgeliwych umrze znowu i czy nawet po ich śmierci brujowska metoda leczenia ulegnie zmianie.

Spodziewam się, że zanim to nastąpi młode lublinianki, które ujdą się w tym roku na uniwersytet do Paryża, otrzymają dyplomy doktorskie i przywiozą może wiadomości dokładną o szczepieniu wściekliny. Ale *à propos* szczepienia, zaprawdę się należało, kto też zaszczylił pięknym lubliniakom, choć do nauki? Jużik chyba nie przedstawiciele miejscowej inteligencji, którzy lekają się na wet odczytów z fizyki, bo to, panie, materializmem traci, pisma postępowe trzymają w szufladzie od biurka i wielbią rodzinne onoty wiadomości. Nie wiem, jakimi manowami przekradają się do Lublina bezbożny duch czasu i w jaki sposób bakamoli młode pani, ale przynajmniej muszę, że może pochłubić się ten lowelas ładnym tryumfem. Długo opierało się bogobojne miasto, „akademię prądom,” wreszcie uległo i na zakład postuszenia oddało aż pięć przyszłych studentek. Badajmy przykład ten oddział i na inne prowincjonalne miasta i wywołał szlachetne współzawodnictwo. Kiedy nieć biedacy rozumne i prawdziwie wykształcone kobiety, może doczekamy się też z biegiem czasu i rozumnych młotczyń, których dziś tak jeszcze niewiele mamy.

Lublin wszelkimi sposobami stara się szależyć na miano drugiego miasta po Warszawie, więc też oprócz własnego teatru i własnych studentek pragnie urządzać jeszcze własną wystawę. Inicjatorstwo tego pomysłu spodziewaj się uzyskać pozwolenie, ponieważ ministerium w cyrkularze rozesłanym do gubernatorów o świadczeń, że wystawy gubernialne bardzo są pożądane. Na wystawie lubelskiej znajdować się mają plody rolniczo, inwentarz i wyroby przemysłu, zwłaszcza drobnego. Na ten ostatni dział należałoby zwrócić szczególniejszą uwagę. Mówiliśmy już niejednokrotnie, że wystawy prowincjonalne większą przynoszą pożytek, aniżeli ogólna wystawa w Warszawie, nie będziemy więc powtarzali dawnych argumentów. Ale ponieważ nie chodzi tu o popis, lecz o poglądowe przedstawienie produkcji miejscowej i jej warunków, okazy powinny być niekoniecznie wzorowe, ale jak najbardziej liadne i typowe. O produkty fabryczne np. równie dobrze wiedzieć możemy i bez wystawy, przedewszystkiem zaś postarać się należało, żeby przemysł domowy, wiejski reprezentowany był jak najpełniej, tutaj bowiem następuje się jedyną prawie sposobność do zbadania tej nieznannej strony naszego życia ekonomicznego. Niech więc organizatorzy wystawy lubelskiej nie tracą się o to, żeby miała ona jak najwięcej działów i obejmowała koniecznie wszystkie rodzaje produkcji miejscowej, owzem, niech rozwinię raczej szeroko jeden dział specjalny, a wtedy zamiast próżnego popisu stworzą rzecz istotnie pożyteczną.

Jeszcze jedna uwaga. Jeżeli wystawa ma nosić charakter rolniczy, to nie należy urządzać jej w czerwcu, jak do tego zachęca p. K. H. w *Gazecie lubelskiej*, ale w końcu sierpnia lub w wrześniu, bo dla oceny plodów rolniczych wtedy dopiero jest właściwa pora. Nie potrzeba zresztą spieszyć się zbytlicznie, lepiej poczekać parę miesięcy, ale przygotować się właściwie.

Było tylko nie wpadć znowu w drugą ostateczność, jak np. sekcyja rolnicza oddziału łódzkiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, której członkowie teraz dopiero przypomniał sobie, że oddział

warszawski rozesłał kiedyś tam jakieś wyśtonarysz dla zbadania potrzeb rolnictwa krajowego. A no, lepiej późno, niż nigdy — pomyśleli sobie gorliwi członkowie, zebrali się więc na posiedzenie i postanowili w bliźkiej przyszłości opracować odpowiedź. Szanowni rolnicy z okolic Łodzi nie wiedzą zapewne, że już wyszło z druku sprawozdanie z nadesłanych odpowiedzi, że na podstawie ich opracowano szereg wniosków, które przedstawiono specjalnie utworzonej delegacyi rolniczej itd. itd. Po cóż więc ta łódzka mustarda po objedzie?

Ostatni ukaz, ograniczający prawa polaków i żydów wytworzył nowy rodzaj dzierżaw. Majątki biorą w arondę włociszanie, ale nie częściowo, tylko w całości, gospodarując wspólnymi siłami.

Na Ukrainie w ten sposób dzierżawia obłopi kilkanaście majątków. O takim samym fakcie pisał *Wieki* w powiatu sołohójskiego w gub. grodzieńskiej. Włociszanie — mazury za parafii Snochowskiej i Korycińskich chętnie tworzą spółki, złożone z kilkunastu uczestników i biorą w dzierżawę większe majątki. Te stowarzyszenia rolne prowadzą gospodarstwo bardzo po myślnie. Wogóle w okolicy wspomnianej, wbrew twierdzeniu, że mazur jest zacięty indywidualista, objawy zbiorowego działania trafiają się bardzo często. Spółki włociszanki kupują również lasy, wyrębiają drzewo i spławiają je do Prus. O pozuciu łączności, panującym wśród ludności miejscowej świadczą również powodzenie, jakiemu cieszą się sklepiki włociszanki (często także zakładane za wspólnie pieniądze), które zwyciężają współzawodniczą z kramami żydowskimi.

Ograniczenie prawa dzierżawy majątków i wogóle ciężkie położenie własności większej dały się najdotkliwiej uczuć prywatnym oficyalistom. Podczas kontraktów w Kijowie roily się tłumy szukających służby, badajmy za marno wynagrodzenie, a byli to najzamożniejsi, którzy mieli przynajmniej za co odbyć podróży. Jakże rosiary przyjęło wydalanie oficyalistów, dozy powiedział, że w dobrach hr. Branickich otrzymał 30,000 ra. oszczędności z powodu zmniejszenia liczby ekonomów, pisarzy, leśniczych itd. Cyfra tego proletaryatu zwiększa się jeszcze, bo spodziewałem się zamknięcie aż dwunastu okrowni. Wazyści ci wyrzuceni na bruk ludzie, oprócz swoich apocalypcznych zajęć nie umiują niczego i niezdolni są nawet do innej pracy.

J. Nieborski.

LITERATURA W SĄDZIE

(streszczenie).

Dnia 9 b. m. w warszawskim sądzie okręgowym rozpoznawana była skarga p. Śnieżko-Zapolskiej przeciwko redaktorowi *Pravdy* i jego współpracownikowi J. Popławskiemu o potwarz i dyfamację. Ze strony powódki stał się adw. Pilecki, ze strony pozwanych adw. Syff.

Pełnomocnik p. Zapolskiej w skardzie podanej sądowi oświadcza, że w n-rze 35 *Pravdy* pomieszczony został artykuł p. t.: *Stendard* ze spowiedzi, w którym znajdują się aluzje do osoby autorki, oraz niesłuszny zarzut przeróbki dwóch utworów: *Malaska* i *Gdybys była* z rosyjskiego i francuskiego, co uważa należy jako wykroczenie czysto karnej natury. Skarga początkowo skierowana była przeciw redaktorowi *Pravdy*, kiedy zaś autor zgłosił się dobrowolnie do sądu, p. Pilecki zmienił oskarżenie o tyle, że pozując p. Popławskiego o dyfamację i potwarz z art. 1039 i 1535, żąda również skazania p. Świętochowskiego, jako redaktora pisma, na podstawie art. 1041 K. K.

Na posiedzeniu sądownym p. Pilecki rozwinął w długiej przemowie treść wniesionej poprzednio

skargi, przytaczając ustępy artykułu i zapewniając, że zarzut plagiatu jest bezpodstawnym. Z zestawienia tych ustępów wywiódł on dowód świadomej winy nietylko współpracownika, ale i redaktora, który zna waga podobnych zarzutów, czynionych autorkom, skoro jedną z nich dawniej energicznie bronił przeciwko krzywdzącemu komentarzowi. Pojedynczymi wyrażeniami, całym tonem i duchem artykułu autor godzi w cześć kobiecy p. Zapolskiej. Nie stara się jej ocenić, ale zniesławia. Na poparcie posędenia o przeróbki nie przedstawił nic, coby zarzut taki usprawiedliwiło. I przedstawić nie mógł, bo nim kierowała tylko śmiałość. W konkluzji pełnomocnik p. Śnieżko-Zapolskiej żądał umorzenia kary dla oskarżonych, nazywając ją potępnym hamulcem na niepewnością drukowanego słowa.

Adwokat Syff, wykazawszy na wstępie swobodę, z jaką prawo pozwala każdemu wszczynać procesy o dyfamację i potwarz, stwierdza, że na przykładzie poczerpniętym z najświeższych kroniki sądowej zagranicznej i przeciwstawiając ją rekojmii ścisłego, przedwstępnego badania sądownego we wszelkich innych sprawach karnych, zwrócił uwagę na okoliczność, iż tylko dzięki pewnym brakom w ustawodawstwie u nas obowiązującemu powódka mogła ścigać do sądu pozwanych i oskarżyć ich o dyfamację i potwarz w druku, wyrzucając wszelkie przekonanie, iż sądy nietylko zarzucały winy nie uzna, ale owzem, skargę pani Zapolskiej uzna za niesumioną i oddali, że jeśli tak, to niezawodnie autorka *Akwarel* nie może się czuć zniesławioną, co z powodu i na podstawie tej książki wyraża o niej *Pravda*.

Zaszczytający charakter sprawy, tak odmieniany od innych, rozbiieranych codziennie przez sąd, obrońca począł ją za rozrywkę dla sędziów i publiczności, stwierdził, że jest to pierwszy w Polsce proces o krytykę i prosił sąd, aby wyrokim swym nie stworzył precedensu na przyszłość, a raczej, aby go stworzył: niech sąd dowieść panu S. Z., iż nie jest aremą dla starć literackich, wyrok zaś nie świadectwem ułudności i talentu.

Przedstawiający historię faktu, różne fazy polemiki, wywołanej przez panią S. Z., zastanowił się nad powodami, które skłoniły ją do przeniesienia sporn z gruntu literackiego na sądowy i z szeregu postawionych przez siebie pytań wyprawał wniosek, iż powódka wnosiąc skargę, o ile nie działała z jednej strony samodzielnie, ulegając wpływom pobocznym, o tyle z drugiej, szukała w procesie reklamy i znalazła ją. Uzasadnienie takiego wniosku znalazł w tej części procesu, która poprzedziła wprowadzenie sprawy do Sądu okręgowego. U sędziego pokój stawił się p. Popt. i oświadczył, iż jest autorem inkryminowanego artykułu. Pani Z. pociągnęła jego do odpowiedzialności, nie zwolniewy z niej redaktora *Pravdy*, którego nazwisko w procesie niezbędnym było dla skuteczności reklamy.

Przeszedłszy do powództwa pani Z. i wskazawszy główne punkty oskarżenia, obrońca zarzucił, iż zawiera on dwa żądania, nie dające się z sobą pogodzić. Powódka dochodził potwarzy i jednocześnie i przedewszystkiem dyfamacji. Zestawiając odpowiednie przepisy kodeksowe, poparł się jurysprudenccją kasacyjną departamentów Senatu, powołał się na zdanie Spawowicza, którego tego rodzaju żądanie nazywa wprost niedorzecznem.

Przedstawiający w obszerniejszym ustępie pogląd swój na krytykę i krytyków, na ścieranie się różnych teoryj naukowych i literackich i czasowe zwycięstwa jednych nad drugimi, zatrzymał się na dzisiejszej walce ustępującej z pola romantyzmu z naturalizmem i wskazał, iż nasza taka literatura nieobez jest wpływem tego ostatniego kierunku. Panią Z. witano jako naturalistkę. *Pravda* milczała o niej, „dopóki pani Z. nie nadesłała redakcyi swych *Akwarel*, czyli innych słowy — dopóki sama nie prosiła o ich krytykę. Jakkolwiek i redaktor *Pravdy*, ani recenzent *Akwarel* nie są osobieściami zwolennikami naturalizmu, to jednak z kierunkiem tym *Pravda* zaznajamiała swych czytelników,

a szacunek, który redakcja żywiła jego przedstawicieli, jako ludzi pracy wielkiej i obywatelskiej niezaradkowała, nie pozwoliła właśnie użyć p. S. Z. za naturalistę. Nie odczuwa ona rzeczywiście, nie kopiuje natury, nie umie jej analizować, natomiast żyje wyłącznie miłością — chorobliwą, patologiczną, historyczną.

Skrzydły treść *Malaszi* i odwróciwszy na podstawę jej typ samej bohaterki, obrońca wykazał, iż jest to potwór umysłowy i moralny, ale nigdy nie kobieta, jako w niej chce widzieć autorka, a przytoczywszy na poparcie swego zdania różne ustępy utworu pani Z., zawierające jej tytuł, wyraził przekonanie, iż wobec tego wszystkiego w poglądach pana Popł. o panią S. Z. niepodobna dopatrzeć się dyfamacji. Niedrukowane romanse pani S. Z. nie go nie obchodziły, a zaszkodził ustęp o „remisimacjach przyzwoitych uczuć i wypadków” nie stanowił, jako charakterystyczny działalności autorskiej pani Zap., wzdrzania się do jej życia prywatnego. Poparzyć treścią nowelki *Eza* twierdzenie pana Popł., iż p. Z. w utworach swych występuje sama jako bohaterka, obrońca zaznaczył, iż jeśli tak, to jedynie ona sama zapomniała druku publikowała fakty, uwieczniające cześć, godność i dobro jej imienia. Jako kobieta, pani Z. nie obchodziła i nie obchodzi krytyki. Płot jej była dla niego objętą. Rozkiełznaną wyobraźnią nie może służyć za podstawę do zarzutu dyfamacji pani Z. zarówno jak „czerwona spódnica”, poczerpnięta z utworu pani Śnieżko, nie zaś z fantazyi recenzenta.

Przedzielając następnie do zarzutu potwarzy, obrońca wyłożył znaczenie kradzieży literackiej, plagiatu i przeróbki, a poparzyć swe zapewnienie faktami, poczerpnął z literatury, dowiódł w dochodzonemu zarzucie niebystu czynu karygodnego. Zarzut taki bowiem wymaga tylko niesamodzielnosci autorki, ale nie jest zniewagą. Podobnie, chociaż ogólniej, że to w pewnym względzie ostry odezwały się o Akwarach inne pisma: *Słowo*, *Wędrownie*, *Alenium*, nie mówiąc o *Gazecie* n. 4, a jednak p. Z. skarzy się tylko na *Prawdę*, *Dziennik*. Dlatego, że inne pisma przyznały jej jakiś talent, a *Prawda* — nie, *Judas* trwał. Gdybyśmy p. Zapolskiej przyznał geniusz Sandowej, pozwoliłaby bodaj nam głosić, że prowadzi jej życie. I tu miłość własna okazała się najdziałniejszą.

Następnie obrońca szeregiem dowodów z powłoki: „Gdybyś ożyła!” gdzie pani Z. mówi o „matkońce doryżycielki” o „analezie same autorki, o rytynie Agory, o Akropolisz same Akropolu, o Akteonie *kochanku* Dyrany, dowodził, że są to widoczne ślady nieumiejętnego posługiwania się jakimś utworem francuskim i uparciego nasycaenia romansem nawet takich stosunków, które — jak Akteonia i Dyrany — do mitów nie należą. P. Popł. napisał to, co mu poddyktało wewnętrzne przekonanie, nie znając życia p. Z. i nie ciekaw go poznać; redaktor zaś wyrodnąłowy jego krytykę, nie dostrzegłszy w niej nie uwieczającego osobistemu honorowi autorki. Domaga się ona od sądu, ażeby jej pasował na talent, ażeby jej wydał świadectwo literackiej znakomitości. Takiego wyroku sąd nie wyda.

Popławski sprowadził kilka twierdzeń Pileckiego, mianowicie że nie był w Galicji i o utworach p. Z. nie pisał w prasie galicyjskiej, lecz mieszał w Cesarstwo.

Świętochowski. P. Piłocki jest literatem, ale redaktorem nie był i obowiązkiem tego stanowiska nie zna. Każdy redaktor usui swym współpracownikom otwierać kredyt moralny. Gdyby mi korespondent paryski doniósł, że arcybiskup tamtejszy wysłał w powietrze kościół św. Magaleu, zamieszczałby wiadomość mimo jej nieprawdopodobieństwa. *Akwareł* nie czytałem, bo dla takich utworów nie mam czasu. Ale pozwalam do sądu, przeczytałem je i wyznaje, że gdyby mi o nich pisał, literacko ocenilibym daleko surowiej. Jest to bowiem nie, lecz fabrykat komunalny i gorączkowych mów. Przyjmujemy wadę pokój odpowiedzialność za artykuł p. P. zrobili to dla honoru redaktorskiego, dziś jej przyjmujemy jako literat. Szkoda mi czasu zmarnowanego dla tej książki. Obrońca nasz ma tu pełną słuszność — p. Z. mści się nie za to, co

przytoczyła w skardze, ale za to, czego nie przytoczyła, za odmówienie jej talentu. Bo co przedstawia dla udowodnienia swej krzywdy? Kilka wyrazów, które jej obrońca musiał uzasadniać rosyjskim przekładem i które musiano tu aż objaśniać, ogładając przez łup i drążyć, ażeby z nich wydobyc ziarna potwarzy. Czy to było tak ciężkim do zniesienia dla kobiety, kiedy najcudniej w swoim honorze mężczyna poprzestaby na oświadczeniu, że autor nie chciał i nie myślał go znieważać? Zniewagi nie widział ani autor, ani redaktor, ani cenzor, którzyby jej nie puścił — a jednak ma ona być tak wielką. Wspominam tu cenzora nie dlatego, ażebyśmy się miał nim zaślaniać, gdyż sam odpowiadam za to, co drukuje, ale dla zaznaczenia, że nikt nie dostrzegł owej strasznej obelgi, którą nam pani Z. i jej obrońca przez powiększające szkła ukazują.

P. Z. gwałtuje o przeróbkę. Większość płodów literatury całego świata składa się z przeróbek. Tylko geniusie dobywają z siebie tryby złotą, z których niższe od nich zdolności wybijają drobną monetą według różnych odcisków i rozdają ludzkości. Zresztą, choćby to nawet była przesada, może ona być przedmiotem literackiego sporu, ale nie państwowego sądu. Prawa ogólne i miejscowe ograniczają naszą swobodę. Są to warunki konieczne, które unać musimy, ale pozostawionej nam resztki nie możemy oddać na łup procesom, wysnutym z jaskiniowych wyrazów, użytego jako mocna barwa języka a wykrętnie przerobionego na potwarz. Wtedy bowiem nie mielibyśmy już czem oddychać. Nie dla siebie więc, ale dla dobra literatury naszej proszę sądu, ażeby nie stwarzał fałszywego pojedyńka dla marności literackich, ażeby zamknął swym wyrokiem drogę, po której żaden poważny pisarz polski nie pójdzie, ale i której okrystając zaralone ziem przykładem lichoty, gotowe skartzyć nas nie za uronione winy, ale za surowo o nich zdania.

Sąd, odczytawszy posiadzenie do dnia następnego i nazajutrz zatwierdziwszy pytania, ogłosił następujący

WYROK

„Zważywszy, że w przytoczonych przez prywatną oskarżycielkę osobnych wyrażeniach recenzji, poświęconej rozbirowi *Akwareł*, nie ma cech ogłoszenia za pośrednictwem prasy jakichkolwiek określonych okoliczności hańbiących, mogących zaszkodzić dobremu imieniu p. Śnieżko-Zapolskiej;

że zarówno oddzielne zdania krytyki „Standar do spódnicy,” jak i cały artykuł Popławskiego, w swojej formie wykładu, ogólnym charakterze i znaczeniu wewnętrznym nie zawiera w sobie danych, wykazujących, że recenzent ogłosił jakikolwiek hańbiący fakt, mający związek z prywatnym i społecznym życiem pani Śnieżko-Zapolskiej;

że w obecnym wypadku cały inkriminowany artykuł zarówno co do istoty swego, jakoteż formy zewnętrznej, chociaż napisany z pewną dosadnością i złośliwością, nie wykracza po za granice ogólnie przyjętych sposobów krytyki literackiej;

że wszczęte przez p. S. Z. dochodzenie karne o potwarz nie tylko okazuje się niedowiedzionem, lecz i stanowiąc nie posiada w swojej podstawie żadnych cech prawnych, niezbędnych dla istoty przestępstwa, przewidzianego w art. 1535 K. K., gdyż fakt literackiego zapożyczenia przez p. S. Z., jeśli nawet istnieć, a nado w takiej formie, w jakiej go wskazał J. Popławski, nie stanowi działania, sprzeciwiającego się zasadom honoru;

że tym sposobem wobec braku w oznaczonym *Jana Popławskiego* cech przestępstwa, przypływanych mu przez prywatną oskarżycielkę, sama przez się upada odpowiedzialność redaktora *Prawy*, Aleksandra Świętochowskiego.

a przeto, w moc wyroku wyłożonego — na zasadzie l. p. 771 nr. Ust. postępow. kar. sąd unajmę J. Popławskiego i A. Świętochowskiego za niewinnych.”

Teatr. *Święto* przedstawiony w teatrze Rozmaltowani dramat Feuilleta *Roman paryski* należy do utworów, które trwałej nie mogą się zapisać na kartach dzieł sceny. Jak style innych nowych sztuk francuskich jest to robota obliczona tylko na efekt, pisaną dla tego, aby dobrać sprzedac na secesyjnym rynku treść zawartą w powieści, która zyskała sobie pewien rozgłos. Bliżej rozbić tej sztuki nie warto. Dziś przytępiła się, przynajmniej dla wykwintniejszej publiczności, stary melodramat, z efektami dekoracyjnymi, z ogólnymi bengalskimi, z akompaniamentem *tremolo* w orkiestrze przy scenach dramatycznych. Zamiast tego bardzo popularna stała się we Francji sztuka sensacyjna z poturami wykwintnego stylu, trzymająca w tonie bardzo wytworzy. W *Romanie paryskim* nie brak efektów, z których D'Enery, istny mistrz od melodramy, mógłby wykreślić mosty scen krytyki, targających nerwy. Jest tam i tajemniczo przywieszane majutko, i wielaromantyczny poruszający meż żrącożnawo, i szum na scenie podobny hulańczej orgii i damami północy, jest wielka miłość z przeszkodami, jest jednym słowem mnóstwo efektów, dzięki którym dany wiekają się do batystowych chusteczek. Obok ustępów, na których znać rękę wybitnego talentu, obok postaci, racjonalnych trafnie i śmiało, sztuka przepełniona jest scenarzem komunalnym, który w oświetleniu kinkietów, na optykę, nie się wygłada, i tymbaridzie, że artysty nasi wprawili w odtwarzanie sztuk francuskich, dobrze wyszukują wszystkie efekty. Pani Rakiewiczowa i Marcello warowały słuchaczy pani Lide na to placuville sztuki rzuciła jaskrawą sylwetkę damy z półwiatka. P. Rapacki odwrócił platystycznie straszne rozpustnika, a p. Prądkowski był bohaterem „romansu” dyktowanym i sentymentalnym, w stylu Feuilleta, który słyse jako fabrykant mekch idealów w dobrym tonie.

Odczyty. P. Janikowski, jeden z członków „stwierdzonej wyprawy polskiej do Afryki”, nie bzdurył wyjeźdź Liba, opowiadał przynajmniej słuchaczom w Warszawie, co widział i czego doświadczył. Ponieważ prelegent, jak zresztą wszyscy jego towarzysze, pojechał na tę wyprawę bez naukowego przygotowania, więc też przywiózł i przedstawiał wiązki mniej lub więcej charakterystycznych, mniej lub więcej zabawnych szczegółów. Dlatego to najwięcej z nich czerpie materiały dziwnie teraz wesoły — Prus. Jego humor nie opuszcza Afryki. O zdobywcach, mających zapisz „imie nasze w księdze świata”, naturalnie dziś nikt grzeszyć nie wspomina.

Ciekawy proces. Pp. Henryk Perzyński, redaktor *Dziennika dla wszystkich* i Afryki, p. P. Nowicki, wywaden tego pisma połączony został do odpowiedzialności, że wbrew zakazowi cenzury, zamiał wykreślonego ustępu watawili Inny, podobnej treści, a olanowicie artykuł p. t. *Reklama* „W n. 108 *Dziennik dla wszystkich* reklama, w formie dziennikarskiego artykułu o prospekcie *Chwili* układa się do szpalt *Dziennika* bez wiedzy głównego redaktora. Nadrukująca tego dopuścił się zajety przy piśmie naszym p. St. Przyborski, brat przyszłego wydawcy *Chwili*, wskutek czego został z redakcji usunięty.” Pomieszczenie tej wiadomości uznano zostało jako wykreślenie przeciw przepiśm cenzuralnym i sąd okręgowy skazał p. Perzyńskiego na 30 rubli kar.

Stara wystawa szciców i wyrobów przemysłu artystycznego w Warszawie otrzymała zatwierdzenie władzy.

W Bzdynie powstał ma gimnazjum. Fabrykant miejscowy p. Kramsta ofiarował odpowiedni dom na pomieszczenie szkoły.

Gospodarstwo rolna. W gub. Radomskiej znajduje się 882 większych majątków ziemskich, z nich tylko w 477 prowadzi się gospodarstwo płodniomienne.

Wydział lekarski zostanie wkrótce otwarty przy uniwersytecie odeskim.

Konkurs. Wydział krajowy galicyjski ogłasza konkurs literacki z zapisu F. Kochmana. Dawie nagrody 1,000 i 500 złr. przyznane będą dwóm dziełom, umianym za najlepsze, napisanym po polsku bez różnicy treści z wyjątkiem tytułu religijnych. Do konkursu stawiać mogą prace rękopiśmienne lub drukowane, te ostatnie wydane po 1878 r. Termin konkursu upływa 31 marca 1898 r. Komisję sądującą składają członkowie Wydz. krajowego Oktaw Pietruski, dr. Samolewicz

dr. G. Roszkowski, dr. A. Bielecki, dr. L. Kubala, dr. A. Malecki i p. Zygmunt Sawczyński.

Bibliografia. Tymoteusz Eulenski, *Światło i ciemność w Polsce*, Warszawa (Odbitka z pamiętnika fizyograficznego).

Doktryzacya. Lekarz S. S. Zaleski, docent Instytutu weterynaryjnego w Dorpacie, po obronie rozprawy p. t. *Znaczenie wyciepów* otrzymał od uniwersytetu warszawskiego stopień medycyny.

Kolonja żydowska. W gub. kijowskiej znajdują się 23 wśle załudnione przez żydów rolników. Na 3,050 głów ludności wypada załudnienie 2,719 mieszkańców, tak że zupełnie upośledzenie zmusza kolonistów do szukania innych zajęć.

Pomniki. Rada miejska w Lipsku odrzuciła żądanie funduszu 4,000 marek na odnowienie pomnika księcia Józefa Półtawskiego. Miejscowy *Tygodnik* nazywa to postanowienie „godnym pochwały czynem rozsądnego patriotyzmu niemieckiego”.

Portret współczesny. Władysława Jagiełły odkrył ks. A. Knothe w kościele katedralnym w Samolencu. Obraz malowany jest na lipowej desce pokrytej warstwą gipsu i uległ nieznacznie tylko uszkodzeniu.

Statystyka szynków. Jeden szyn w guberniach wielkorosyjskich przypada na 158 mieszkańców, nadbałtyckich na 338, w Królestwie na 471 i w gub. zachodnich na 589.

Zmarli. Forster, niegdyś minister do spraw irlandzkich w gabinecie Gladstone'a, później uparty przeciwnik polityki tego męża stanu, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli partii liberalnej.

— Karimierz Stadnicki, pracownicy badacze dziejów Litwy i Rusi, autor wielu dzieł cennych, jak np. *Symyonia Gedyminas, Bracia Jagiełły* itd.

— Nestor Koszciński, niegdyś jeden z głośniejszych poetów polonistów, autor kilku rozpraw z dziedziny ekonomii.

OPOWIEDZI REDAKCYI.

Przemyślni. z *Życzenia* Niekupnie możemy Pana zadowolnić, gdyś postawienie pytania są nieścisłe i bardzo potoczne. 1) Część świata są państwa do których, skutecznym, a odkrycia przy bieżącej poludnowym nie były dokonane przez jednego człowieka. 2) Według traktatów książę Monaco jest wasalem Francji, która przejęła (1860) prawa sardyńskie i która tam zachowała swoją administrację, sądownictwo itd. 3) Szlak nadszedł po raz ostatni 1645 częściowo i obywateli, na mocy traktatu huberturbskiego 1763 powołał austriacki. 4) Pomorze całe — nigdy, województwo pomorskie do 1772. 5) Poznańskie ostatecznie oddano — traktatem wiedeńskim. 6) Görz (Zgorzelec) należał.

P. J. T. w Scam. Podać się a po zgłoszeniu opłać wpisowe i składkę.

A. K. U nas nie można ani zawrzeć takiego ślubu, ani wziętego ślubu iż nie uprawiać.

P. Stef. Zar. Ponieważ Pan mieszka w Warszawie — najlepiej poradzi Szkoła Handlowa.

M. Sam. Helne wiele swych utworów wydawał na przykład po francusku. Na język polski przełożone są głównie rymy przez Kraushara — M. Malekiewicza, Gomułkę itd. Dobrego studium nad tym poetą nie ma. *Zyczenia* — Stródmiana, najświeższy — R. Prokasa (po niemiecku).

Dr Sk. — Kr. U. Artuklik Pański, jako wyznaczenie prywatny, mógłby być wyodrębniony tylko wśród platnych ogłoszeń, naturalnie o ile uzyskaby pozwolenie policyi.

Mazowiec. Pismo nasze nie mogłoby korzystać z pańskiego talentu nawet „słone kopiejkami”.

Uczniowie szk. k. Procent księgarski — 10.

Ogłoszenia.

SPÓŁKA NAKŁADOWA wydała studium etnograficzno-społeczne W. Smoleńskiego p. t.:

DROBNA SZLACHTA

W KRÓLESTWIE POLSKIM.

Cena kop. 60.

Szach i Mat

(Karyerowicz)

komedia w 4-ach aktach
Józefa Blizińskiego,

opuściła prasę z oddzielnej odbitki, nakładem Redakcyi „Echa Muzycznego i Teatralnego” i jest do nabycia w Biurze Redakcyi (Senatorska 28) i we wszystkich księgarniach, w cenie 50 kop za egzemplarz.

1—3

LETNIE MIESZKANIA

w Ostrowie, przy przystanku kolei Terespolskiej Dęba, w suchym lesie sosnowym, w domkach wygodnie urządzonych. Produkty na miejscu, komunikacja z najbliższymi miastami stała, z Warszawy częsta. Blizsza wiadomość w sklepie parasolniczym HOFERT SENATORSKA 2.

1—5

Wielki medal srebrny.	LAKIERY I FARBY	Cement francuski i grafit.
	połączają	
	ZAKŁADY PRZEMYSŁ.-CHEMICZNE	
	W. KAPIŃSKI & W. LEPPERT w Warszawie, Elektrańska 37.	

3—24

NIZINY

powieść

Elizy Orzeszkowej

wydanie ozdobne, z ilustracyami E. M. Andriollego.

Cena rubel jeden.

Nakład Autorki, do nabycia we wszystkich księgarniach.

BOLESŁAWA PRUSA

(Aleksandra Głowackiego)

SZKICE I OBRZASKI

tomów 4, z portretem autora

Caoło rs. 5, każdy tom pojedynczo rs. 1 kop. 50.

Tom pierwszy zawiera utwory następujące:

Nowy rok. — Żywy telegraf. — Na wakacjach. — Kocha nie kocha! — Księżka. — W Górach. — Kamienica. — Cienie. — Pomietki. — Prekierne szczęście. — Przy księżcu. — Milczenie głosu. — Stara bajka. — Pleśń świata.

Tom drugi:

Orestes i Pyłades. — On. — Podwójny człowiek. — Na pograniczu. — Echa morzy. — Pan Dudkowski i jego folwark. — Grzechy dzieciństwa.

Tom III: powieść p. t. „Anielka.” (Chybiona powieść).

Tom IV: powieść „Dusze w niewoli.”

Przesyłający pioniadze **bezpłatnie** do kantoru Spółki kosztów porta pocztowego nie ponoszą.

SPÓŁKA NAKŁADOWA.

Zielna 7-A.

W Administracyi Prawdy nabyć można:

J. Brandesa

Główne prądy literatury XIX-go wieku.

Tomy: I, II, III po rs. 1 k. 50, tom IV rs. 2, razem rs. 6 (z przesyłką).

Tom V, zawierający Szkołę romantyzmu we Francji, (z wydawnictwa Spółki Nakładowej) rs. 2.

Nakładem Prawdy wyszło ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy załudnienie parę miesięcy a już zapowiadana jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowskich sposobach, w niegwałtownych ścisłości naukowej upodobnieniach stosunków roślinnych do ludzkich popularyzuje prawdy i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanym nowy a uroczy świat zjawisk.

Treść: Przebiegłość kwiatów. — Ich dyplomacya. — Gra w chowanego. — Obrona nie zaczepka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankrutstwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) rs. 2; dla abonentów naszych, rs. 1 k. 50.

Zwracający się z zapytaniem bezpośrednio do naszej Administracyi kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

SPÓŁKA NAKŁADOWA

połącza następujące wydawnictwa swoje:

Chmielowski Piotr dr. Antorki Polskie wieku XIX, studium literacko-obywatelskie, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 rs. 2 kop. 50.

Jerzy Brandes: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francji, z portretem autora str. 402 rs. 2.

Herbert Spencer: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginalna angielskiego przełożył Jan Karłowicz rs. 2.

Światłeko. książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono wybitniejszych pisarzy polskich, w ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście rs. 1 kop. 80

Stanisław Kramsztyk: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.

Nabywający dzieła powyższe w kantorkę Spółki (Zielna 7-A) kosztów przesyłki nie ponoszą.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincji upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdym opóźnieniu lub nieodborze PRAWDY. Pismo nasze wysłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.